NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. – Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy – 20 kop — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 21 października 1916. Nr. 43

Legiony na polu walki.



Ułani polscy wyruszają na nieprzyjaciela.

Legiony na polu walki.

Wśród olbrzymich zmagań, jakie toczą się na wszystkich frontach, liczących tysiące kilometrów i miliony walczących żołnierzy, nie giną bynajmniej bohaterskie wysiłki Legionistów polskich. Choć w stosunku do olbrzymich mas, biorących udział w obecnej wojnie, Legioniści stanowią małą garstkę, ich męstwo rozniosło znowu sławę oręża polskiego po całym świecie... Przyznają to dzisiaj nawet ci, co niechętnie patrzą na bohaterskie czyny Legionów.

Każdy niemal dzień okrywa nowymi laurami walczące Legiony, o których coraz częściej też wspominają i oficyalne komunikaty. Niepodobna ocenić dziś należycie ogromu wysiłków i ofiar tej garstki polskich ochotników, których do walki prowadzi świetlana nadzieja lepszej przyszłości narodu polskiego. Można notować jedynie pojedyncze epizody i momenty z tej legionowej epopei... W dzisiejszym numerze zamieszczamy też szereg nowych zdjęć z pola walki Legionistów polskich.



Szkoła inwalidów w Wiedniu: Odwiedziny ks. biskupa Bandurskiego. (Fot M. Dudek).

Z oswobodzonego Siedmiogrodu.

Prędko skończyły się tryumfy Rumunów w Siedmiogrodzie. Po zwycięskim marszu ich wojsk nastąpił tem sromotniejszy odwrót. — Obecny, drugi okres kampanii siedmiogrodzkiej jest w toku pełnego rozwoju. Jest on reakcyą na okres pierwszy, w którym armie rumuńskie, odrzucając w tył słabsze austro-węgierskie siły obronne, szeroką ławą wkroczyły w Siedmiogród, zdążając koncentrycznym marszem na rzekę Marosz, nad którą dopiero spodziewały się napotkać na główną podstawę operacyjną wojsk austro-węgierskich. Do nadziei tej zdawał się upoważniać je szereg innych okoliczności: istotne zaskoczenie swego przeciwnika, przeżywającego podówczas ciężkie przesilenie na froncie rosyjskim, słaba nadzieja, iż w obliczu nowego niebezpieczeństwa Bułgarya zapomni o swych obowiązkach sojuszniczych i wreszcie znane głosy sejmu budapeszteńskiego, gdzie w chwilowem przygnębieniu ducha padły nawet słowa, czy wogóle linia Maroszu jest zdolną do utrzymania i czy punktu wyjścia do podjęcia środków zaradczych nie należy szukać nad Cisą.

I znowu w całej pełni ujawnił się — tym razem w Siedmiogrodzie — wpływ tych momentów militarnych, które państwom centralnym i ich sprzymierzeńcom pozwalają sprostać przeważającym siłom przeciwnika.

Są niemi korzyści linii wewnętrznych i wyższość jednolitego kierownictwa armii sprzymierzonych. Dzięki tym dwom czynnikom w niespełna miesiąc po wybuchu wojny rumuńskiej zjawiły się na ziemi siedmiogrodzkiej pod wodzą niemieckiego generała Falkenhayna siły, które wykorzystując wspaniale wszelkie momenty strategiczne i taktyczne, rozgramiają po kolei najezdnicze armie rumuńskie.

Jak wiadomo, operacye w Siedmiogrodzie powierzone były trzem armiom rumuńskim, których teren, cel i kierunek był wytyczony granicami państwa. Pierwsze uderzenie skierowało się ku pierwszej armii rumuńskiej, operującej na linii Hermanstadtu. Przebieg tego uderzenia, oskrzydlający ruch Bawarczyków na tyły Rumunów, opanowanie Czerwonej Wieży i wtłoczenie rozprzężonej armii rumuńskiej w góry graniczne na wschód od przełęczy, są już szczegółowo znane, jako jedna z najwybitniejszych kart szeroko zakrojonych operacyi obecnej wojny. Lecz sukces ten nie pociągnął generała Falkenhayna w stronę, która zdawała się najbardziej spragnionego wawrzynów wodza pociągać: do przeniesienia terenu walki na ziemię rumuńską. — Rozbicie pierwszej armii uważał jedynie za wywalczenie sobie warunków do właściwych operacyi przeciw dwom pozostałym armiom i do wykonania tych operacyi bezzwłocznie przystąpił.

Zostawiwszy Bawarczyków w przełęczy Czerwonej Wieży — aby odebrać Rumunom pokusę wtargnięcia na jego tyły — dokonał z główną armią obrotu z frontu północno-południowego na front z zachodu na wschód i ruszył po obu brzegach Aluty ku Kronsztadtowi, wypierając wysunięte naprzód oddziały rumuńskie i zamykając po drodze



Z oswobodzonego Siedmiogrodu: Ogólny widok odebranego Rumunom miasta Kronsztadu





Ze szpitalnictwa wojskowego w Krakowie:

Jeńcy rosyjscy w pierwszym epidemicznym szpitalu

Werandowanie chorych piersiowo.

mniejsze przełęcze górskie w granicznych Alpach fogaryjskich. Do walnego oporu przygotowali się Rumuni u zachodnich wylotów grzbietu Persany i Lasu duchów, okalających, jak wiadomo, dolinę kronsztadzką od strony zachodniej i północno-zachodniej. — Próba oporu kosztowała ich kilkadziesiąt armat. Nie pozostało więc im nic innego, jak opuścić niefortunne stanowiska i poprzez kotlinę kronsztadzką szukać szczęścia na wzniesieniach położonych na południe i wschód od miasta.

Wyparcie Rumunów z nad środkowej Aluty i opanowanie kotliny Kronsztadzkiej, zdaje się wywierać również decydujący wpływ na trzecią armię rumuńską. Prawe skrzydło tej armii, po odwrocie drugiej armii rumuńskiej, zawisło niejako w powietrzu, i u nauczonych doświadczeniem ostatnich dni Rumunów poczęła się wyłaniać obawa, by generał Falkenhayn, rozbiwszy także drugą armię rumuńską, nie dokonał z kolei zwrotu z kierunku wschodniego na północny i nie zechciał, w okrężnej drodze dookoła granic Siedmiogrodu, zgotować trzeciej armii los podobny pierwszym. Nie czekając tedy na dalszy rozwój wypadków na południu, przeszli do stanowczego odwrotu z nad rzeki Kokel, ustąpili z Szekely Keresztur i Szekely Udvarhelly, pociągając zarazem za sobą grupę operującą w górach Goergeny. Tak więc na całym niemal froncie wschodnim znajdują się Rumuni w pełnym odwrocie, a godzina zupełnego uwolnienia Siedmiogrodu z pod inwazyi przeciwnika poczyna wybijać.

Nowa ofenzywa włoska.

Od kilkunastu dni szaleje na południowym froncie nowa, niesłychanie gwałtowna, ósma z rzędu ofenzywa włoska. Włosi wytężają wszystkie siły, aby zbliżyć się do Tryestu, od którego ich pozycye były w linii powietrznej oddalone o dwadzieścia kilometrów. Ataki włoskie kierują się przeciw wyżynie Comen, przez którą zdaniem Włochów, wiedzie droga na Tryest. Nagromadziwszy najcięższą artyleryę, między innemi miotacze min o kalibrze czterdziestu centimetrów, ostrzeliwując huraganowym ogniem, którego gwałtowność przewyższa nawet ogień nad Sommą, cały front od Gorycyi do morza, Włosi



Z wojny na morzu: Nabijanie działa okrętowego.

szturmują pozycye austryackie nowemi, wypoczętemi masami wojsk — bez większego sukcesu, a wśród strasznych ofiar.

Dzielne pułki generała Boroevicza, który broni Tryestu, odpierają wszystkie ataki włoskie. Dotychczas bohaterski opór wojsk austryackich udaremnia znaczniejsze postępy Włochów, którzy poza Oppachiosellę nie mogą się posunąć.

Według sprawozdań szwajcarskich ofenzywa włoska prowadzona jest z taką gwałtownością, jakiej na tym terenie wojny jeszcze nie stwierdzono. Włosi kroczą tu zupełnie śladami dowództwa francuskiego i przy pomocy niewidzianego tu jeszcze ognia artyleryjskiego usiłują utorować drogę dla piechoty. Ośrodkiem walki jest wyżyna Komeńska. Na odcinku tym, o szerokości zaledwie ośmiu kilometrów, skoncentrowali Włosi masy najcięższej artyleryi, która trzyma linie austro-węgierskie dzień i noc pod bezprzykładnym orkanowym ogniem.

Ze szpitalnictwa wojskowego w Krakowie.

W szeregu zdjęć, jakie dotychczas zamieściliśmy ze szpitali wojskowych w Krakowie, podajemy w dzisiejszym numerze kilka fotografii z I. epidemicznego szpitala, mieszczącego się u OO. Bonifratrów, w dawnym szpitalu żydowskim przy ulicy Skawińskiej i w Łagiewnikach.

W szpitalu tym oprócz chorych, dotkniętych ostremi chorobami zakaźnemi, jak tyfusem, czerwonką i t. p., leczą się także chorzy na gruźlicę i pokąsani przez wściekłych psów. Ta ostatnia kategorya pacyentów jest bardzo liczna, gdyż do krakowskiego szpitala epidemicznego przywożą pokąsanych z całej Galicyi i okupacyi austryackiej w Król. Pol.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze illustracye przedstawiają salę dla pokąsanych, werandowanie chorych piersiowo, transport jeńców rosyjskich i obrazek z gospodarstwa szpitalnego.

Szkoła inwalidów w Wiedniu.

Obecnie tocząca się wojna pociągnęła za sobą wiele ofiar. Wielu z dzielnych obrońców granic kraju rodzinnego padło na polu chwały, wielu też odniosło ciężkie rany, tak że na całe życie pozostaną kalekami. Aby tym właśnie nieszczęśliwym dać sposobność zarobienia sobie w czasie pokoju na





Ze szpitalnictwa wojskowego w Krakowie:

Gospodarstwo w pierwszym epidemicznym szpitalu.

Sala dla pokąsanych przez psy wściekłe w pierwszym epidemicznym szpitalu



Najkrwawsza bitwa: Las zniszczony pociskami w walkach nad Sommą.

kawałek chleba codziennego urządzano wielkim nakładem w różnych miastach monarchii szkoły, w których żołnierze inwalidzi pod fachowem kierownictwem kształcą się w najrozmaitszych zawodach. Szkoły te rozwijają się bardzo pomyślnie i stają się prawdziwem dobrodziejstwem dla swych wychowanków, którzy, jako pożyteczne jednostki opuszczają ich mury, nie potrzebując być w przyszłości ciężarem społeczeństwa.

Taka szkoła dla inwalidów wojskowych znajduje się w Wiedniu, w okręgu X a zostaje pod fachowem kierownictwem starszego lekarza sztabowego Dr. Hansa. Niedawno zwiedził ją ks. biskup Bandurski, informując się dokładnie o najdrobniejszych szczegółach urządzenia. Z okazyi pobytu czcigodnego kapłana, który spieszy zawsze tam, gdzie może przynieść ulgę lub pociechę cierpiącym, sporządzono zamieszczone w niniejszym numerze zdjęcie fotograficzne, obok którego podajemy także ogólny widok szkoły i baraków mieszkalnych.



Szkoła inwalidów w Wiedniu: Ogólny widok szkoły i baraków mieszkalnych. (Fot. M. Dudek)

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

3

— Ktoś tu był przedemną — przemknęła mu myśl — przyniósł cukierki, palił papierosy... Naturalnie... Czegoż to spodziewałem się...

Ogarnął go dziwny niesmak.

— Po co ja tu właściwie przyszedłem?

W tej chwili pani Ada wydała mu się bardzo daleką, obcą i obojętną.

Miał ochotę wstać i odejść, ale nie zrobił tego.

Oparł głowę o miękkie poduszki kanapy, zapalił papierosa i czekał.

Powoli zaciszna atmosfera pokoju jasno oświetlonego, wysłanego dywanami, pełnego róż, zaczęła na niego oddziaływać...

Robiło mu się jakoś dobrze, miło, wygodnie, słowa Jawicza zgłuchły..

Tylko dlaczego ona tak długo każe mu czekać?

Skrzypnęły drzwi... Ludwik drgnął... Do pokoju wbiegła malutka istotka z nieporządnie uczesaną główką, z wlokącemi się u bucików sznurowadłami i wyciągnęła do niego rączki.

— Tatuś, tatuś!

Dziecko przybiegło bliżej, poznało swoją omyłkę i cofnęło się zawstydzone.

— To pan, nie tatuś... Mój tatuś także żołnierz.

Rażycki pochylił się ku dziecku, które spoglądało nań wielkiemi, szeroko rozwartemi modremi oczami.

— Ty pan, ty pan, ty nie tatuś...

W przyległym pokoju rozległ się gniewny głos pani Ady:

— Maryanna! Co to znaczy, dlaczego Irka biega po mieszkaniu. Jak Maryanna pilnuje dziecka? Proszę Irkę wziąć natychmiast do kuchni!

Rażycki podniósł dziewczynkę z ziemi i posadził ją sobie na kolanach. Do pokoju wbiegła służąca, aby wykonać rozkaz pani.

— Fe! Niegrzeczna Irka! Nie wiesz, że mamusia się gniewa, jak Irka biega po pokojach. Chodź mi tu zaraz, widzisz ją, odrazu na kolanach.

Irka błagalne spojrzenie swoich modrych ocząt zwróciła na Ludwika, jakby szukając u niego opieki i pomocy.

Rażycki przycisnął dziecko mocniej do siebie.

— Proszę ją zostawić, ona mi wcale nie przeszkadza.

— Pani będzie się gniewała.

— To już sam przeproszę panią... Chcesz, Irko, zostać ze mną?

— Chcę, chcę — szczebiotała dziewczynka, czepiając się rączkami szyi nowego przyjaciela.

Maryanna dała za wygraną i wyszła, pozostawiając Irkę.

Dziewczynka była bardzo ładna, twarzyczkę miała bystrą i roztropną, ale sukienka jej zdawała się być oddawna nieprana, a dziecko samo dnia tego wcale nie myte i nie czesane.

— Ci ti pan znaś mojego tatusia?

Ludwik wpatrzył się w twarzyczkę dziewczynki, nie była podobna do matki, może do ojca.

Nie mógł sobie przypomnieć dokładnie, jak wygląda Warewicz. Rozejrzał się po pokoju, szukając wzrokiem jego fotografii, nie znalazł jej.

Zato portretów samej pani domu rysowanych, malowanych, fotografowanych różnorodnej wielkości, w rozmaitych pozach i kostyumach było kilkanaście.

— Czy Irka kocha tatusia?

— Kocha baldzo, baldzo.

— A mamusię?

Irka zawahała się z odpowiedzią.

— Mamusię też.

Pospiesznie dodała:

— Pan, opowiedź bajtę...

— Nie umiem, Irko, opowiadać bajek.

Dziecko zrobiło zasmuconą minkę.

— Nie umiś! Mamusia także nie umie. Malijanna nie. Tatuś umiał opowiadać bajty. Telaz nit Ilce nie opowiada bajet.

W głosie dziewczynki zabrzmiała żałosna skarga.

Ludwik uczuł, że ogarnia go jakieś dziwnie tkliwe, ojcowskie uczucie dla tej malutkiej istotki, która w tym zacisznym, wykwintnie urządzonym pokoju, pełnym miękich dywanów, pięknych kwiatów, zgrabnych mebelków i gustownych cacek, robiła wrażenie smutnego kopciuszka, opuszczonej sierotki.

A wszak to ojciec jej własną, wytężającą może nad siły pracą usłał to miłe, ładne gniazdko, z którego podczas jego nieobecności wyrzucano to bezbronne stworzenie nieumyte, nieuczesane, w brudnej perkalikowej sukience, w podartych, rozsznurowanych bucikach do „kuchni“, pod opiekę obcej, nieokrzesanej może, niechętnej kobiety.

Naturalnie! Dziecko przeszkadza w przyjmowaniu gości i wyglądem swoim kompromituje strojną mamusię.

— I to jest matka!

Oczy Rażyckiego mimowolnie padły na porzuconą na kanapce książkę. Machinalnie wziął ją do ręki. Spojrzał. Były to „Szkice“ Multatulego. Książka otwarta była na noweli p. t. „Ornis“, w której autor powiada: „I pytam, dlaczego pani Petersen i tylu innych ludzi „chowają“ sobie dzieci?“

Położył książkę i w myśli powtórzył zapytanie holenderskiego pisarza: Dlaczego?!

O piękna pani Ado! Dlaczego tobie wolno „chować“ sobie dziecko?!

Mała rączka szarpnęła go za ramię.

— Pan... powiedź... kiedy wlóci tatuś? Ilta cie tatusia... Tatuś tocha Iltę... Ilta tocha tatusia...

— Wróci tatuś, dziecinko, wróci do Irki — wyrzekł stłumionym głosem Ludwik.

— Plędko!... plędko!...

— Prędko...

Irka zsunęła mu się nagle z kolan i schyliła się po różową kartkę polową, leżącą na dywanie.

Widocznie kartka spadła ze stolika, rzucona tam niedbale...

Dziewczynka podniosła kartkę i wcisnęła ją w rękę gościowi.

— O! Tatuś pisal.. Citaj pan... Ilka nie umie citać...

Ludwik odruchowo spojrzał na kartkę, zapisaną równem, wyraźnem pismem męskiem. Nie myśląc o tem, co robi, przeczytał kilka pierwszych zdań:

„Ukochana, złota moja Aduś!

Dlaczego piszesz tak rzadko? Mnie tak bardzo tęskno do ciebie i naszej maleńkiej Irki, niepokoję się o was ciągle... Odpisz proszę cię, Aduś, zaraz, czy jesteście zdrowe...

Posyłam ci pieniądze, bo wiem, że tam w Krakowie wszystko drogo, a ja tutaj w polu niczego nie potrzebuję...“

Kartka wysunęła się z palców Ludwika i upadła na dywan, znacząc się na nim ciemno-różową plamą.

W tej chwili dobiegł go głos pani Ady, jakiś gniewny, podniesiony.

Wstręt chwycił Rażyckiego za gardło, oczy jego błądziły po pokoju, spoglądając to na leżącą na ziemi kartkę, to na dziecko, które wyczekująco podnosiło ku niemu gwiazdy ciemnych ocząt, to na bombonierę z zatkniętym w niej biletem wizytowym i znowu na dziecko.

Może ten człowiek, który pisał te dobre, serdeczne słowa, ginie w tej chwili, a może to biedne, zaniedbane dziecko nie ma już kochającego tatusia...

— Co ja tutaj robię?!... Poco ja przybyłem do jego domu... do jego żony... Jak złodziej... Jak najpodlejszy złodziej... A ona... Nie, nigdy!...

— Pan... pan... Dlaciego ziuciłeś?... — zadzwonił głosik dziecięcy.

Zaszeleściło coś... wionęło... zapachniało perfumami „Rose de France“.

Do pokoju wbiegła pani Ada w szlafroczku powiewnym z jedwabnego batystu barwy ciemnych irysów — różowa, świeża, śliczna, urocza...

Głębokie wycięcie szlafroka odsłaniało wypieszczone, lekko złotawe, jak dojrzewająca brzoskwinia, ciało brunetki.

Z obramowania białych koronek, którymi oszyty był szlafrok, wykwitała szyja, a z luźnych rękawów wysuwały się pełne, rozkosznie zaokrąglone, lekkim, ciemnym puszkiem pokryte ręce.

Pani Ada wyciągnęła ku Ludwikowi swoją małą, piękną rękę, na której obok obrączki ślubnej — błyszczał pierścionek z brylantem.

— Długo kazałam czekać na siebie?... Gniewamy się o to, co?.. Kiedy doprawdy nie mogłam zaraz... Irka, co ty tutaj robisz? Czego się naprzykrzasz panu?... Marsz mi zaraz do Maryanny! Ach! Te służące... Co panu, panie Ludwiku? Nie wita się pan ze mną... Tak bardzo się pan gniewa o moje opóźnienie... Oj! Złośnik! Złośnik...

Ludwik stał nieruchomo bardzo blady, bez słowa. Pani Ada spojrzała na niego zdziwiona, zaczęła się usprawiedliwiać...

— Fe! Cóż to za brzydka zmarszczka na czole! Któż widział być tak nerwowym i niecierpliwym!... Byłabym już tutaj od dziesięciu minut, gdyby nie ta nieznośna służąca... Zirytowałam się, że kolacya jeszcze nie gotowa, bo ona, zamiast ją przyrządzać, wylewa strumienie łez nad kartką swego męża z pola. Znajomi namówili mnie, żebym wzięła mężatkę, której mąż jest przy wojsku i oto mam pociechę.

Pani Ada urwała, przerażona bladością Ludwika i jego uporczywem milczeniem. Instynkt ostrzegł ją, że chodzi tutaj o coś innego, jak o zwykłe dąsy...

— Co panu... panie Ludwiku... Ludwiku... Czyś chory... słabo ci...

A on zacinał zęby, aby nie bluznąć w twarz tej kobiecie w jej własnym domu słowami najwyższej pogardy.

Z trudem wykrztusił:

— Żegnam panią.

Chciał skierować się ku drzwiom, mijając panią domu.

Pani Ada, coraz więcej zdumiona i przestraszona, podbiegła ku niemu bliżej, zagradzając mu drogę, przyczem noga, obuta w czarny aksamitny pantofelek, stąpiła na różową, porzuconą na dywanie kartkę.

— Pan chce odejść... Dlaczego... Co się stało... Co to znaczy... Kiedyż się zobaczymy?...

— Jeżeli to będzie odemnie zależało, nigdy! — odpowiedział twardo pewnym już zupełnie głosem.

— Co?!

Ludwik przy drzwiach już obrócił się i rzekł ironicznie:

— Niech pani spojrzy, co pani depcze swoją nóżką i niech pani popatrzy tam — wskazał Irkę, która w obawie snać przed gniewem matki skuliła się pod ścianą w kłębuszek. — Ja, pani, mam matkę, dobrą, zacną matkę i przez miłość dla niej nie chciałbym stracić szacunku dla kobiety, a gdybym pozostał tutaj dłużej...

Nie dokończył i zniknął za drzwiami, pozostawiając kobietę oniemiałą ze zdumienia, z twarzą wykrzywioną, zeszpeconą szalonym gniewem.

Ludwik biegł po schodach, jakby go kto gonił. Wychodząc szybko z bramy, nie zauważył, że pod murem kamienicy stała skurczona jakaś drobna, nędzna postać kobieca w czarnym słomkowym kapeluszu.

Kobieta ta ścigała wzrokiem Rażyckiego, dopóki nie zniknął na zakręcie ulicy.

Odetchnęła jakby z ulgą i szepnęła cichutko:

— Nie został u nie... — i oddaliła się drobnymi krokami w przeciwną stronę.

Na ulicy płonęły już latarnie...

Ludwik Rażycki skręcił na planty i szedł popowoli, chłodząc rozpalone czoło powiewem lekkiego wiatru wieczornego...

Był tak wzburzony, że nie mógł zebrać myśli, więc chciał się uspokoić łagodną atmosferą letniego wieczoru, odzyskać równowagę umysłu, gubiąc się wśród tłumu spacerowiczów, snujących się po Plantach...

Ludwik nie miał natury samotnika — lubił ludzi, ruch, gwar i nerwy jego uspakajały się najlepiej na widok twarzy ludzkich wśród poszeptu rozmów...

Wśród tłumu odnajdywał samego siebie...

Zaczął rozważać swój postępek... Czuł się z niego dumny i zadowolony... Na myśl o pani Adzie otrząsał się poprostu... Wspomnienie jej urody, zmysłowej, drażniącej, przestało na niego działać, odczuwał tylko takie moralne obrzydzenie, że brała go ochota splunąć...

Ludwik był lekkomyślny i temperament unosił go często, niemniej jednak na dnie jego duszy spoczywało głębokie poszanowanie dla świętości macierzyństwa i to przeświadczenie, że są na świecie jeśli nie „białe anioły z skrzydłami białemi“, to w każdym razie kobiety godne prawdziwego szacunku...

Znał przecież takie... matka... Anielka i kilka jeszcze innych kobiet...

Przypomniał sobie słowa wypowiedziane do Witowtówny: „że pięknym kobietom wybacza się wiele“.

— Tam do dyabła! Przeholowałem!... Wiele nie wiele, w każdym razie nie wszystko... W ostateczności wolę już Kornelię z jej monstrualną brzydotą, aniżeli tę syrenę... Tylko dziecka szkoda... Takie milutkie, roztropne maleństwo... Tfu! I to się nazywa matka!...

Dobrze to Multatuli powiedział: „dlaczego pani Petersen i tylu innych ludzi...“

Od strony Uniwersytetu biegło ciche brząkanie mandolin, a po chwili ozwały się głosy młodzieńcze, śpiewające popularną gondolierę:

„O pójdź, zapada nocy czar,
Wśród sinych morza fal
I księżycowych złudnych mar
Gondola pomknie w dal...
Oczarowana świateł cudnych grą,
W miłości cudnym śnie,
Gdy mandoliny zabrzmi ton,
Czy oprzesz się? O! Nie...“

(Ciąg dalszy nastąpi)



Chrześniak „Czwartaków": Chrzest chłopca włościańskiego na pozycyi czwartego pułku piechoty Legionów polskich. (X) Ojciec chrzestny podpor. Kołodziejski.

Chrześniak „Czwartaków".

Wojna, jak i życie, składa się z najrozmaitszych przeciwieństw. Choć jej żniwem jest ponura śmierć, nie brak i na polu walki jaśniejszych promyków. W przededniu bitew żołnierze weselą się i bawią, a kapelani wojskowi nie tylko święcą wyrastające wciąż mogiły, bo wśród tych smutnych ceremonii wypadnie im nieraz błogosławić nowego na świat przybysza. Taki fakt zaszedł niedawno wśród naszych „Czwartaków". W rozkazie dziennym 4 pułku piechoty Legionów polskich ogłoszono, że ma się odbyć nabożeństwo przy trenie prowiantowym. Gdy dowiedzieli się o tem i „cywile", kryjący się w chałupach sąsiedniej kolonii Szkurat, zwrócili się z zapytaniem, czy mogą przyjść, bo też „jest dziecko do chrztu". Matką dziecka jest chłopka ze wsi bogatej Sitowicze, powiat kowelski, ale dziś ze wsi niema ani śladu, linia wojenna Stochodu ją zmiotła, a ludzi wypędziła z torbami.

Do czwartego pułku przyszedł telefonem wojskowym jedyny w swoim rodzaju meldunek służbowy: „w trenie jest dziecko do chrztu; czy ksiądz kapelan może ochrzcić".

Pułkownik Roja, dowiedziawszy się o tem, pyta naturalnie co za dziecko. — Dowiaduje się, że to jakby na pół sierota. Matka chłopaka, to bogata włościanka, ale dziś żebraczka, bo we wsi stoją Moskale, ją samą, z niemowlęciem na ręku, rzuciła wojna na los żebraczy; męża zagarnęli Rosyanie. Czwartakom Sitowicze są znane, bo rok temu, przy ofenzywie, gościli ich tam ludzie czas dłuższy, a teraz na kilkanaście dni zatrzymali się tam, powstrzymując ofenzywę rosyjską. Wszystkich tknęła atmosfera tej na pół zburzonej, obrabowanej, a tak bogatej, miłej przed rokiem jeszcze wioski polskiej...

Dlatego też i pułkownik Roja postanowił tej biednej matce przyjść z pomocą. — Jak ona to dziecko uchowa? Rok temu Czwartaków gościła, nawet pamiętała o tem, że tam „Legionisty były" — teraz należy się, by pułk spłacił jakiś dług, podówczas zaciągnięty. Zresztą wojna niszczy, ale niech ten żołnierz i to wojsko polskie także buduje, coś dobrego zrobi gdzie się da — twierdzi pułkownik.

— Księże kapelanie — trzeba się zająć tem biedactwem! — mówi pułkownik — Pułk będzie mu ojcem chrzestnym, imieniem pułku niech komendant trenu, porucznik Kołodziejski, trzyma dziecko do chrztu, a matce powiedzieć, że będziemy o dziecku pamiętali, jak podrośnie, pułk da na wychowanie dziecka. Niech ten chrzest będzie z paradą, muzyka niech zagra, bo to chrzest „Czwartaka".



Nowa ofenzywa włoska: Skutek wybuchu pocisku z austryackiego 30·5 ctm. moździerza.

Następnego dnia po nabożeństwie, przy ołtarzyku polowym, zeszła się garstka ludzi; chłopi w szarych siermięgach i kumoszki w sutem odzieniu, choć zmarnowanem tułaczką. Coś sobie radzą.

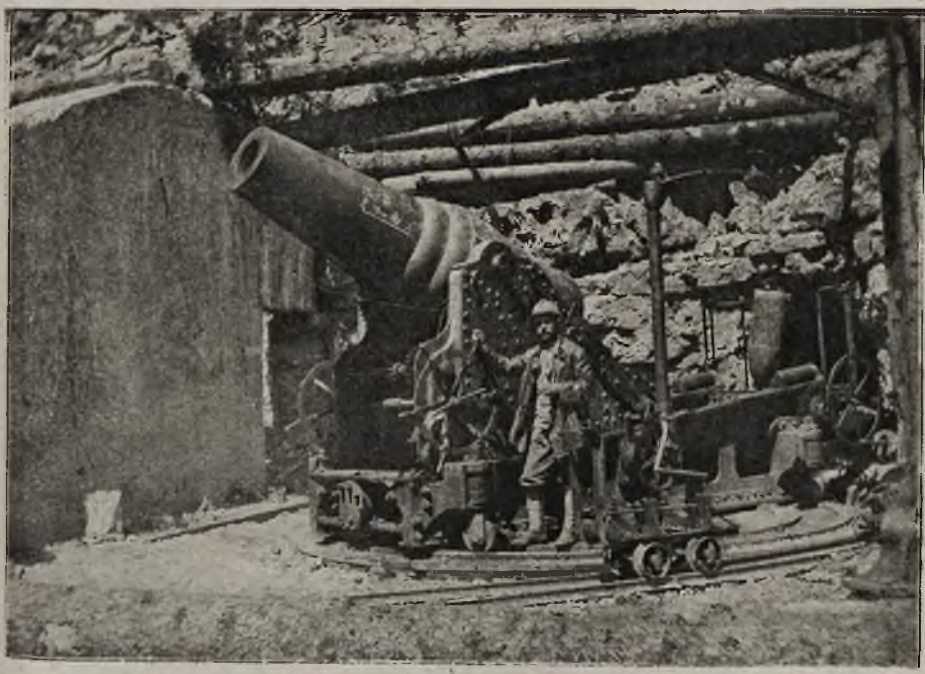
— Czemuście się spóźnili na nabożeństwo?

— Prosimy bardzo pana księdza oficera, kiedyśmy kuma szukali, a nie mogliśmy znaleźć! — odpowiada dobrą polszczyzną jedna, śmielszej natury.

— No, kuma nie trzeba — odpowiada ksiądz



Z oswobodzonego Siedmiogrodu: Następca tronu arcyksiążę Karol Franciszek Józef rozmawia z odznaczonymi oficerami i żołnierzami na froncie siedmiogrodzkim.





Zdobyte przez wojska austro-węgierskie 28 ctm działo włoskie **Nowa ofensywa włoska:** Schroniska wojsk austro-węgierskich

kapelan — bo kumem to będzie ten pan oficer, rozumiecie! No, chodźcie do ołtarza!

Muzyka zagrała marsza; dziewczętom odrazu zaśmiały się oczy i nie o pacierzu, ale o tańcu pomyślały — ale widok ołtarza oprzytomnił je. — Oficer wziął dziecko wieśniacze na ręce.

— Czego żądasz od Kościoła?

— Wiary.

— Bolesławie, ja ciebie chrzczę...

Ochrzczono chłopca imieniem komendanta pułku, a w księgach metrykalnych zapisano pod rubryką: Patrinus: „Legionum Polonicarum pedituum legio 4“.

Tak pułk czwarty ma swego chrześniaka, da Bóg, w przyszłości polskiego żołnierza.



Najkrwawsza bitwa: Wybuch miny na pozycyi niemieckiej nad Sommą

Ceremonii przyglądał się i mały Leoś Marchnicki.

— Księże kapelanie — mówi śmiejąco — jak napiszę do mamy, że mam syna. Co moja mama na to powie?

— Jakto! — pyta kapelan.

— Ano, ten ochrzczony Bolek, to przecie syn czwartego pułku, a ja Czwartak!

Najkrwawsza bitwa.

Nikt nie miał pojęcia przed wybuchem obecnej wojny o jej rozmiarach i krwawem żniwie. Nie było jeszcze na ziemi tak morderczych walk i tylu ofiar. A im dłużej trwa wojna, tem potworniejsze przybiera rozmiary. Wymownym tego dowodem jest tocząca się od kilku miesięcy bitwa nad Sommą. Jest



Legiony na polu walki: Kaplica i cmentarz na pozycyi w czasie Mszy św



Legiony na polu walki: Zasieki na błotach wołyńskich.



Najkrwawsza bitwa: Zrównana z ziemią przez nieustanny ogień artyleryjski wieś nad Sommą

to niewątpliwie największy w dotychczasowym przebiegu wojny wysiłek francusko-angielski, mający na celu złamanie potęgi Niemiec. Jak dotychczas jednak szalony rozmach ataku Anglików i Francuzów nie odnosi bynajmniej zamierzonego skutku. Niemcy są wprawdzie w defenzywie, ale defenzywa to straszliwa. Każdy krok ziemi okupuje się stosami trupów żołnierzy francusko angielskich. Sprawozdawca angielski w tym względzie daje świadectwo niepodejrzane chyba zupełnie. Sprawozdawca „Daily News“ pisze zaś, jak następuje:

„Na najskrajniejszem lewem skrzydle wojska angielskie staczać musiały walki najcięższe. Wszędzie są one wystawione na najgwałtowniejszy ogień nieprzyjacielski. Gdy przebyły pierwsze fale, wyłoniły się znowu z podziemnych stanowisk straszliwe karabiny maszynowe, przerzedzające nasze szeregi. Artylerya niemiecka strzela ze stanowisk, częściowo umocnionych ciężkiemi żelaznemi płytami. Szczególnie wieś Guedencourt obwarowana była nadzwyczajnie silnie. Anglicy ponieśli tu ciężkie straty.



Legiony na polu walki: Spowiedź w okopach.



Najkrwawsza bitwa: Wybuch granatów przed pozycyami niemieckiemi nad Sommą.

O niebywałym pojedynku artyleryjskim nie można wprost mieć wyobrażenia. — Przeszło tysiąc dział używa nieprzyjaciel przeciw naszemu frontowi, co najmniej drugie tyle przeciwko frontowi Francuzów. Ponieważ my i sprzymierzeńcy nasi przynajmniej tyleż dział wprawić musimy w ogień, zieje płomieniami dziennie przeszło cztery tysiące dział, z czego trzy czwarte spełnia pracę swoją dzień i noc bez przerwy.

Osobliwie krwawe były też walki w lesie Leuze. Tu bronili Niemcy każdej piędzi ziemi z niewiarogodnym uporem. Jeśli się mówi o lasach, czy wsiach, nie trzeba sobie wyobrażać przytem jakichś wsi istotnie. Idzie tu o ruiny tylko, zewnętrznie niemal



Z wojny na morzu: Ostrzeliwanie nieprzyjacielskiego aeroplanu z karabinu maszynowego na okręcie

nie odróżniające się od reszty krajobrazu. Wszystko zestrzelano w szarą kupę drzewa, kamieni i innych przedmiotów, zamienionych w rumowisko, od których odrzynają się tylko pojedyńcze drzewa na kształt okrętowych masztów. Od czasu do czasu strzelać poczyna około tysiąca dział naraz i ten tak



Nowa ofenzywa włoska: Austryacki moździerz 30·5 ctm na płaskowzgórzu

zwany salwowy ogień trwa zazwyczaj 30 do 40 minut. Wówczas nie można już odróżnić wogóle, skąd grzmot pochodzi właściwie. Jeśli przeminie taka salwa, następuje nagła cisza zazwyczaj: znak dla piechoty angielskiej do szturmu. W tej samej wszakże chwili otwierają straszliwy ogień Niemcy i zaraz potem widzi się ciała żołnierzy angielskich miotane w powietrze. Na dwu punktach był w ostatnich dniach ogień osobliwie okropny: w pobliżu Clery, gdzie straszliwy orkan granatów francuskich bez przerwy szalał po terenie, oraz koło Morval. Ponad całym frontem leży dym ciężki, przez który przebijają się tylko płomienie ognia wybuchających granatów i błyskawice u wylotów dział. Niepodobna wprost opisać tego widowiska".

Wysiłki wojsk francusko angielskich pod względem uzbrojenia artyleryjskiego osiągnęły w czasie wojny wiele. Wedle zagranicznych źródeł, w samej Francyi do artyleryjskiego materyału z czasów przedwojennych przybyły szybkostrzelne haubice Schneidera, kalibru piętnastocentymetrowego, haubice dwudziestosześciocentymetrowe, działa okrętowe 30 5, oraz trzydziestoczterocentymetrowe. — Ponadto wymieniają 29·3 centymetrowe haubice, które zamówione były pierwotnie przez duńskie ministerstwo wojny, z wybuchem wojny wszakże zostały przez francuski zarząd wojskowy zajęte. — Miano nadto wygotować pewną ilość nowych moździerzy kalibru trzydziestosiedmiocentymetrowego. Być może, że ta rozmaitość kalibrów ciężkiej artyleryi francuskiej sprawia istotnie zamieszanie przy dostawie amunicyi, jak twierdzi major Moraht. — Charakterystyczne jest wszakże, że Francuzi przestali się już chełpić swojemi siedmdziesięciopięciomilimetrówkami i że przeszli do artyleryi ciężkiej, w miarę, jak zmieniała się technika prowadzenia tej wojny.

Prócz olbrzymiego tego materyału artyleryjskiego, rzucili Francuzi i Anglicy w bitwę nad Sommą niesłychany wprost materyał ludzki. Dziewięćdziesiąt dywizyi francusko angielskich brało już udział w bitwie nad Sommą. Czterdzieści z tego dostarczyli Francuzi, pięćdziesiąt zaś Anglicy. Czyni to razem niemal dwa miliony ludzi. Stwierdzono przytem, że



Najkrwawsza bitwa: Zapalona przez pociski francuskie wieś nad Sommą.



Kuchnie wojenne we Lwowie: Komitet pań zarządzających wojenną kuchnią dla intelligencyi.

co najmniej połowa atakujących wojsk angielskich poniosła przeszło pięćdziesiąt procent strat. Ponieważ na niektórych odcinkach ataku Francuzi jeszcze krwawszych strat doznali, aniżeli Anglicy, można ogólne straty nieprzyjacielskie od początku ofenzywy, to jest od dnia 1 lipca b. r. obliczać na mniej więcej siedmset do ośmset tysięcy.

Cóż zyskali Francuzi i Anglicy tym niesłychanym nakładem materyału wojennego i nieoszacowanego wprost materyału ludzkiego? Ile wynosi ten zysk w terenie, jaki osiągnęła trzymiesięczna ofenzywa wojsk francusko-angielskich? W miejscu, gdzie nieprzyjaciel najdalej posunął się naprzód, przy Guedecourt, zdołał ujść zaledwie piętnaście kilometrów od punktu wyjścia ofenzywy na zachód od Fricourt nad Ancrą. Tyle wynosi zysk w bitwie, prowadzonej z najwyższym wysiłkiem techniki i ludzkich sił fizycznych, w bitwie, przewyższającej rozmiarami i okropnością wszystko, co wyobraźnia ludzka zdoła wymyśleć. A przecie bitwa ta doprowadzić miała do rozstrzygnięcia wojny światowej. W chwili, gdy wojska sprzymierzone zajęte zostały głównemi zadaniami, przypadającemi na dalekich frontach na wschodzie, chcieli Francuzi i Anglicy za wszelką cenę przed zimą przebić jeszcze front niemiecki w miejscu, gdzie się zbliża do kąta prostego i spowodować zwinięcie frontu tego, a zarazem oczyszczenie Francyi i Belgii z wojsk nieprzyjacielskich. Z całym wrodzonym im spokojem i zawziętością bez granic prowadzą Anglicy tę bitwę, wyniszczającą przedewszystkiem własne ich wojska. Widoków przebicia nieprzyjacielskiego frontu tem mniej jest wszakże, im więcej na pobojowisku angielskiej krwi się leje.

Kuchnie wojenne we Lwowie.

Lwów, stolica Galicyi, położony w bezpośredniem sąsiedztwie linii bojowej, znalazł się po ustąpieniu Rosyan w krytycznem wprost położeniu, zwłaszcza pod względem aprowizacyi, która do dnia dzisiejszego napotyka na ogromne trudności. Tak intelligencya, jak i ludność uboższa, zwłaszcza na przedmieściach, przymiera głodem, okoliczne wsi bowiem, które zaopatrywały miasto w artykuły spożywcze, są przeważnie zniszczone, ponadto przebywa tam wiele rodzin uchodźców z wschodnich powiatów zajętych przez najeźdźcę.

Aby złemu zapobiedz, niestrudzony komendant miasta, jenerał major Riml, postarał się w porozumieniu z zarządem miasta o założenie kuchni wojennych tak dla ludności najuboższej, jak i dla intelligencyi. Jak były one potrzebne, świadczy sprawozdanie komitetu za miesiąc wrzesień, które wykazuje 51.143 bezpłatnie wydanych porcyi. Równocześnie podjęto nowe zarządzenia celem wprowadzenia w życie obiadów dla pewnej liczby niezamożnych i w centrum miasta. W kuchni wojennej przy ulicy Senatorskiej wydano we wrześniu 12.202 obiadów za opłatą jednej korony.

Ponadto postanowił komendant miasta założyć



Kuchnie wojenne we Lwowie: Komitet panów zajmujący się kuchnią wojenną dla intelligencyi (Fot M. Münz, Lwów).

na czas pory zimowej herbaciarnię i urządzić ogrzane izby dla ubogiej ludności. W tym celu poczyniono już odpowiednie kroki przygotowawcze.

Pierwsza akcya humanitarna jenerała Rimla, mianowicie zaprowadzenie wojennych kuchni polowych dla przedmieść, oraz założenie kuchni wojennej dla intelligencyi, okazała się bardzo pożyteczną.



Po czterdziestu latach pracy nauczycielskiej: Pożegnanie ustępującej kierowniczki szkoły im. Konopnickiej w Chrzanowie, p. Tekli Borowieckiej (X).

Po czterdziestu latach pracy nauczycielskiej.

Staraniem grona nauczycielskiego szkoły sześcioklasowej żeńskiej im. Konopnickiej w Chrzanowie, odbył się tam niedawno uroczysty akt pożegnania długoletniej kierowniczki tej szkoły, p. Tekli Borowieckiej, która po czterdziestu latach pracy nauczycielskiej w Chrzanowie przeniosła się w dobrze zasłużony stan spoczynku. Obszerną, odpowiednio udekorowaną salę „Sokoła“ zapełniła po brzegi młodzież szkolna, nauczycielstwo miejscowe i z powiatu, oraz bardzo liczna publiczność. Po wprowadzeniu jubilatki do sali i powitaniu jej piękną kantatą, pożegnalne przemówienie wygłosiła pięknie jedna z uczenic, poczem przemawiali: p. Papuzińska imieniem grona nauczycielskiego, dyrektorka A. Dietrich, ks. proboszcz Kamiński, burmistrz Grzelewski, p. Rapkiewicz imieniem Ogniska nauczycielskiego, oraz dyrektor, p. St. Polaczek z Krzeszowic, imieniem Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego i starych przyjaciół jubilatki. Do łez wzruszona p. Borowiecka podziękowała wszystkim serdecznem przemówieniem.

Na zakończenie uroczystości dziatwa szkolna odegrała obrazek Jadwigi z Łobzowa „Tobie Polsko“.

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

10

Przez przeciąg minuty słuchał uważnie, poczem zawołał żywo, z rozdrażnieniem w głosie:

— Hallo! Asselin! Doprawdy, mój kochany, pytam się, czy nie zidyociałeś w jednej chwili! Proszę, posłuchaj mnie pan do końca. Mówię panu, żebyś poszedł zabrać starego profesora, stamtąd gdzie się jeszcze znajduje, to jest z aresztu — rozumie pan? A potem masz go zaprowadzić tam, gdzie wiesz. Konfrontacya z pana ptaszkiem może być bardzo ciekawa. Co pan mówi? Ależ, naturalnie, do Saint Mande, do pensyonatu pani Donay. Cóż się stało, że pan tak ciężko dziś wszystko pojmujesz?

— Ach! To bałwan! — szepnął odchodząc od telefonu — Co mu się stało? Otumaniał całkiem!

Ale mnie nagle dziwna myśl przyszła do głowy. Skoczyłem do Tharpsa i pochwyciłem go za rękę, ciągnąc z powrotem do aparatu.

— Wiliamie! Wiliamie! — wołałem gorączkowo — Czyś ty pewny, że rozmawiałeś przed chwilą z Asselinem? Przypomnij sobie przerwanie komunikacyi — trwało krótko — ale...

Tharps rozpaczliwym ruchem pochwycił się za głowę.

— Co ty mówisz? Może masz racyę. Ktoś obcy przejął rozmowę przeznaczoną dla Asselina. To niezrozumienie sytuacyi — idyotyczne odpowiedzi! Tak, tak! Oczywiście! To wypytywanie mnie! Ktoś z naszych przeciwników znajdował się przy aparacie w czasie przerwy i podszedł mnie! A do dyabła! Co teraz będzie?

— Czy zdradziłeś się z całym swoim planem? — zapytałem zaniepokojony nie na żarty.

— Naturalnie! Ten łajdak wszystko odemnie wyciągnął. A to pech! Tyle pracy, tyle ostrożności, aby zdradzić się w ostatniej chwili!

Nie śmiałem go pocieszać, bo sam rozumiałem dobrze, że stała się rzecz nieodwołalna i niebezpieczna w skutkach dla akcyi, tak przez niego starannie obmyślanej.

Tharps po przejściu pierwszego oszołomienia skoczył do telefonu i szatanie zaczął z wściekłością, dzwoniąc i wołając głośno ajenta.

Niespokojny i rozdrażniony sam do najwyższego stopnia, ująłem drugą słuchawkę, nadsłuchując chciwie.

Nareszcie posłyszeliśmy dobywający się z aparatu jakiś głos.

— Czy to ty, Asselin? — zawołał Tharps, łudząc się jeszcze jakąś nadzieją.

Ale zamiast odpowiedzi usłyszeliśmy tylko głośny wybuch ironicznego śmiechu.

— Ach, kanalia! — szepnął Tharps, usuwając się bezwładnie na krzesło! Tym razem, to już koniec wszystkiego!

— — — — — — — — — — — — —

Wieczór był bardzo pogodny i ciepły, woleliśmy więc udać się pieszo do pensyonatu pani Donay.

Mój przyjaciel w milczeniu palił papierosa za papierosem. Widziałem, że jeszcze nie ochłonął z wrażenia poprzednio odebranego, bo od czasu do czasu skurcz nerwowy przebiegł przez jego twarz po bladą.

Przed chwilą, kiedy z telefonu rozległ się był ten szatańsko złośliwy wybuch śmiechu, Tharps z wściekłością przerwał komunikacyę i odskoczył od telefonu. Ale po kilku minutach znowu zażądał połączenia z dyrekcyą policyi, wypytując się, co się stało z Asselinem. Odpowiedziano mu, że inspektor właśnie co wyszedł z biura i nikt nie miał pewności, czy on to odebrał ostatnie polecenia Tharpsa, czy też kto inny. W każdym razie ten wybuch śmiechu był bardzo podejrzaną wskazówką. Asselin nie byłby sobie nigdy pozwolił na żart tak niewłaściwy.

Nie było więc wątpliwości, że ktoś przejął rozmowę przeznaczoną dla ajenta. A rozmowa ta była bardzo ważną, zawierała ostatnie zlecenie Tharpsa i ujawniała cały plan jego z godzin ostatnich. Ja sam choć nie zwracałem zbytniej uwagi na jego słowa — dowiedziałem się, że Tharps spodziewał się, iż dzisiejszej nocy pseudo-markiz da Santa Cruza wśliznie się do pensyonatu pani Donay. Ale w jakim celu? Czy dla popełnienia nowej jakiej zbrodni? Tego zdaje się i Asselin sam nie wiedział. Wiliam przypuszczał, że będzie go można zręcznie przychwycić, zdemaskować i oddać w ręce Asselina, który miał mieć gotowy rozkaz aresztowania przy sobie.

Aby zaś inscenizacyę tę podnieść do większej potęgi, Tharps, który nie pogardzał teatralnymi efektami, chciał na to samo miejsce sprowadzić profesora Schoettena i skonfrontować z nim Hiszpana.

Otóż te wszystkie przygotowania przestały być tajemnicą obecnie i cały ten plan, zbudowany przez Tharpsa, był bezowocny. Kto wie nawet, czy my zamiast zostać zwycięzcami, nie mogliśmy paść ofiarą zasadzki zastawionej na nas przez markiza i Charttona.

Sytuacya zatem nie była wesoła i nie dziwiłem się wcale rozdrażnieniu Tharpsa. Nie chciałem go więc męczyć pytaniami, chociaż dręczyła mnie ciekawość dowiedzenia się od niego, skąd Asselin był tak dobrze poinformowany co do nocnej wyprawy markiza do pensyonatu „Donay". Ale może i Tharps sam nie wiedział o tem.

Podczas naszej krótkiej przeprawy do Saint-Mandé obserwowałem bacznie mojego przyjaciela i z przyjemnością spostrzegłem, że ruch i świeże powietrze dodatnio działają na niego. Zły humor i rozdrażnienie zaczęły powoli ustępować. Skorzystałem z tego lepszego jego usposobienia i zawiązałem z nim rozmowę.

Dowiedziałem się więc od niego, że zręczny Asselin, idąc za śladami Hiszpana, odnalazł jego kochankę i od niej to zasięgnął wiadomości bardzo ważnych. Przedewszystkiem zdradziła przed nim zamiar markiza odwiedzenia dzisiejszej nocy pensyonatu „Donay".

Chciał on tam odszukać zagubiony papier w miejscu nieznanem przez nikogo. Co zawierał ten papier, o tem kobieta nic nie wiedziała, ale Tharps przypuszczał, że był to jeden z aktów skradzionych profesorowi. Wiadomości odebrane przez Asselina musiały być pewne, tembardziej, że przyjaciółka markiza zapłonęła nagle miłością do ajenta i nie wiedząc, z kim ma do czynienia, w naiwności swojej zdradziła plan swojego kochanka, nie domyślając się, jakie to ważne skutki jej gadatliwość wywołać może.

Kiedy przybyliśmy do pensyonatu „Donay" — Wiliam skonstatował z przyjemnością, że dookoła willi zaciągnięta była dyskretnie straż policyjna. Rozpoznał w tem umiejętną rękę Asselina. Dzięki więc tej ostrożności nikt wejść ani wyjść nie mógł z pensyonatu, nie będąc widzianym.

Przywitawszy się z panią Donay, udaliśmy się do jej gabinetu, który oddała do całkowitej naszej dyspozycyi. Aż do godziny w pół do jedenastej nie zaszło nic szczególnego. Około godziny dziesiątej służba rozeszła się do swoich pokoików, a w głównym salonie pozostało tylko parę osób, zabawiających się rozmową.

Żadna z nich jednak nie przypuszczała nawet, jaka scena miała się wkrótce odegrać w pensyonacie i nie domyślała się przyczyny naszego przybycia.

Nagle w salonie uczynił się ruch jakiś. Dobiegły mnie głosy i wykrzykniki dyskretne i poznałem głos pani Donay, witającej nowego jakiegoś gościa.

Serce zabiło mi gwałtownie. Przeczuwałem, że teraz nadeszła chwila decydująca i że zasadzka, urządzona przez Tharpsa, udała się. Chwilę przedtem jeszcze słyszałem, jak pułkownik Ricotte wychodził z salonu i odgłos głosów na schodach.

Mimowoli spojrzałem wówczas na Tharpsa i z twarzy jego skupionej i błyszczących oczów poznałem, że rozwiązanie ostateczne jest bliskie.

Chciałem już towarzyszyć mu do salonu, bo pewnym byłem, że bezzwłocznie się tam uda, kiedy dobiegł mnie już wyraźnie cudzoziemski akcent profesora Schoettena. Upadłem z powrotem na fotel, przeklinając w duchu pośpiech Asselina. Po chwili spojrzałem na Tharpsa. Nic w jego twarzy nie zdradzało zaniepokojenia lub wzruszenia. Powstał i skinąwszy na mnie ręką, udał się do salonu.

Poszedłem za nim, dziwiąc się w duchu, że nie czekał na sposobność dogodniejszą dla siebie.

W chwili, kiedy stanęliśmy na progu salonu, stary profesor, gestykulując szeroko, opowiadał zgromadzonym dzieje swojego niezwykłego porwania.

Obrócony był do nas plecami, mogliśmy więc przyglądać się do słuchających go z zaciekawieniem, nie będąc przez niego widziani.

Ale nagle stała się rzecz, której nie oczekiwałem wcale. W chwili, kiedy profesor silnie zdenerwowany i podniecony mówił o przykrościach przymusowego swego więzienia, wywołując szczere współczucie, a nawet łzy w oczach pań, otaczających go, Tharps przerwał jego wywody głośnym wykrzyknikiem:

— Słuchajno, przyjacielu, zapomniałeś, jak widzę, o swoim akcencie cudzoziemskim!

Na dźwięk tego głosu staruszek odwrócił się z żywością, która mnie zdumiała, ze względu na jego wiek i męczące reumatyzmy.

— Co to znaczy? — wykrztusił z trudem.

Spojrzenie jego wystraszone pobiegło ku Tharpsowi, a potem ku drzwiom.

Goście pani Donay, zdumieni szczególną interwencyą mojego przyjaciela i zachowaniem się profesora, powstali, oczekując wyjaśnienia.

Upłynęła długa minuta przygnębiającego milczenia.

— Czy zechce mi pan powiedzieć, co to ma znaczyć? — zapytał profesor Schoetten, prostując się energicznie.

— Z największą przyjemnością! — oświadczył żartobliwie Tharps — Ale przedewszystkiem musi pan usiąść.

I prawie siłą usadowił profesora na fotelu.

Wszystkie kobiety, obecne w salone, skupiły się trwożnie w jednym kącie, nie śmiejąc się poruszyć - mężczyźni zaś zdradzali zamiary interweniowania w tej dziwnej scenie, której jeszcze rozumieć nie mogli.

W pokoju panował przykry i denerwujący nastrój, złożony z ciekawości i lęku. Jakaś stara dama upadła, drżąc nerwowo, na kanapę i szlochała cicho. Ja sam czułem, jak jakaś żelazna obręcz obejmuje mi skronie i odbiera przytomność umysłu.

Tharps, założywszy ręce w wyzywającej postawie, stanął przed profesorem, mierząc go pogardliwem i surowem spojrzeniem.

— Czy pan zawsze jeszcze pali fajkę, panie Schoetten? — zapytał ironicznie.

Widziałem, jak ręka staruszka drżeć zaczęła nerwowo.

— No! Proszę o odpowiedź — nalegał Tharps.

Ale profesor milczał uparcie.

Zapytywaliśmy się wszyscy, co to miało znaczyć.

Czyżby profesor Schoetten miał być mordercą swojego sąsiada, pana d'Orwalda? I w jakim celu Tharps czynił aluzyę do jego fajki?

Z grupy mężczyzn wystąpił pan Gallmore.

— Cóż to za zagadka, panie Tharps? Czy może nam ją pan wyjaśnić?

Wiliam spojrzał na niego i uśmiechnął się.

— Jest to zagadka, której twórcą jest ten człowiek — odparł — a którą ja mam zamiar rozwiązać natychmiast.

— Co? Co? — odezwały się pojedyncze głosy.

Tharps zwrócił się twarzą do pani Donay, otoczonej swoimi gośćmi i wymówił stanowczym i silnym głosem:

— Ten człowiek nie jest profesorem Schoettenem!

Staruszek podskoczył ze złością na krześle.

— Pan chyba oszalał! — zawołał — Protestuję przeciw takiej impertynencyi!

— Czy może mi pan wymienić miejsce swojego urodzenia, szanowny panie profesorze? — zapytał Tharps, nie zwracając uwagi na jego słowa.

Staruszek zawahał się.

— Zdaje się, że ta próba jest dostateczna — zaśmiał się Wiliam — ale mamy tu jeszcze coś lepszego.

Do salonu wszedł właśnie człowiek, skromnie ubrany. Podszedł do mojego przyjaciela i szepnął mu parę słów do ucha. Tharps odpowiedział skinieniem głowy. Wówczas nieznajomy pospieszył do drzwi i wpuścił nowego gościa. Wszedłszy do pokoju, rozejrzał się on wokoło i nagle z wyciągniętemi pięściami podbiegł do profesora, grożąc mu i krzycząc łamanym językiem francuskim.

Na jego widok wszyscy wydali okrzyk zdumienia.

Nowoprzybyły był identycznie podobny do tego, którego my dotąd mieli za profesora Schoettena.

Tharps widząc, że zancsi się na nieprzyjemną scenę, bo nowoprzybyły okazywał gniew coraz większy i szczerszy, pochwycił go za ramię i oddał w opiekę ajenta. Sam zaś stanął przed tamtym, siedzącym bezwładnie na fotelu.

— No, Eugeniuszu Schmidt! — rzekł surowo — Poddaj się! Widzisz, że przegrałeś sprawę.

Człowiek, którego mój przyjaciel nazwał Schmidtem, zerwał się szybko i zanim opamiętać się mogliśmy, jednym skokiem, roztrącając wszystkich pięściami, znalazł się przy drzwiach.

Ale Tharps nie był nowicyuszem w swoim zawodzie. W chwili, kiedy tamten chwytał za klamkę, silne uderzenie pięści w brzuch zwaliło go jak kłodę na ziemię.

Kobiety wylęknione krzyczeć zaczęły i wołać ratunku. Zdemaskowany Schmidt, dysząc ciężko, leżał kilka sekund na podłodze, wkończu powstał powoli, poprawiając fałszywą brodę i wąsy, które w upadku odlepiły się nieco. Prawdziwy zaś profesor Schoetten, stojąc przy boku ajenta, który go przyprowadził, uśmiechał się z zadowoleniem.

Tharps postąpił parę kroków ku pokonanemu

przeciwnikowi i podniósł rękę do peruki, chwiejącej się na jego głowie. Jednym zręcznym ruchem zerwał ją wraz z brodą i wąsami, mówiąc pogardliwie:

— Po co upierać się przy tych głupstwach. Już teraz na takie sztuczki zapóźno.

— D'Orwald! Pan d'Orwald! Chartton! — rozległy się zdumione okrzyki.

Nastało zamieszanie nie do opisania. Nikt nie rozumiał jeszcze, co się stało. Tharps uśmiechał się, zadowolony i pewny siebie.

Pseudo-profesor, pod ogniem tylu spojrzeń, skierowanych w jego stronę, cofał się, nie myśląc już jednak o ucieczce, w stronę przeciwną drzwiom.

Milczenie głębokie zaległo w salonie. Patrzyliśmy tylko, jak gdyby całe pragnienie zrozumienia skoncentrowało się w oczach.

Zauważyliśmy, że pseudo-profesor miał rękawiczkę na prawej ręce. Nareszcie przestał się cofać i bezsilnie wsparł się o napotkany kominek.

Do salonu wszedł teraz Asselin z rozpromienioną twarzą i zbliżył się do Tharpsa.

— Muszę panu powinszować tej zręcznej roboty! — rzekł Tharps, podając mu rękę — Wywiązałeś się znakomicie ze zadanie.

— Wypełniłem tylko rozkazy pana, panie Tharps — odparł Asselin skromnie.

Wokoło nas koło ciekawych zacieśniało się coraz bardziej. — Każdy pragnął jakichś wyjaśnień. Wiedziano już teraz, że człowiek, podający się za profesora Schoettena, zabawił się w mistyfikacyę i że to był d'Orwald, którego miano za zamordowanego — ale poza tem nie wiedziano nic więcej. Tajemnica nie odkryta trwała dalej.

— Panie Tharps, czy mogę już zabrać stąd tego człowieka? — przerwał milczenie Asselin.

— Zaraz, mój przyjacielu — odparł Tharps, podchodząc do swojego przeciwnika — mam mu zadać jedno pytanie.

— Gdzie jest pierścień? Proszę odpowiadać bez kłamstw, bo na nic się one już nie przydadzą.

Zapytany zaśmiał się ironicznie.

— Oto jest tam — odrzekł — może się panu jeszcze przyda na co.

Mówiąc to wskazywał ręką kominek, gdzie pomiędzy płomieniami topniała z lekkim sykiem kulka złota.

Człowiek, który przyprowadził prawdziwego profesora Schoettena, rzucił się do kominka i zauważyłem jak twarz jego ściągnęła się gniewnie, kiedy przekonał się, że klejnot zamienił się już w niekształtną, nierozpoznawalną masę.

Podczas tej niemej sceny lekki uśmiech błąkał się po ustach Tharpsa.

Skinieniem ręki przywołał Asselina i szepnął do niego coś cichym głosem. Asselin natychmiast podszedł do pseudo-d'Orwalda i popchnął go ku drzwiom, gdzie już czekało na niego dwóch ajentów mających go odprowadzić do więzienia, sam zaś powrócił do pokoju, oczekując dalszych rozkazów Tharpsa. Tenże zaś uczynił ręką ruch, wskazujący, że chce mówić.

W tej chwili któryś z panów przysunął mu fotel, drugi podał otwartą papierośnicę. Wiliam skłonił się w stronę dam, prosząc o pozwolenie zapalenia papierosa, czego mu udzielono bardzo chętnie i rozpoczął swoje opowiadanie.

— Zaraz na wstępie śledztwa, zważywszy wszystkie okoliczności towarzyszące wykradzeniu zwłok pana d'Orwalda, wyrobiłem sobie przekonanie, że wykradzenie to wcale nie miało miejsca. Byłem tego tak pewnym, że nawet twierdziłem wobec dyrektora policyi, że zwłoki zamordowanego ani na chwilę nie opuściły pensyonatu „Donay". W tej myśli więc skierowałem całą uwagę na pokój pana d'Orwalda i prędko przekonałem się, że nie dokonano tu żadnej zbrodni rzeczywistej. Śledztwo, które przeprowadziłem, wykazało mi bowiem, że ten, którego mieliśmy za zamordowanego, zemdlał tylko przy amputacyi palca, którą przeprowadzili na nim zbrodniarze i powrócił do przytomności pod wpływem gorącej czekolady, wylanej na niego przez pokojową.

Pozatem odkryłem ślady kroków pana d'Orwalda, prowadzące do mieszkania starego profesora i krople krwi, wsiąknięte już w części w puszysty dywan rozciągający się na podłodze.

Kiedy zaś udałem się do profosora Schoettena, chcąc zbadać sprawę wykradzenia jego papierów i kuferka, przekonałem się, badając jego postać uważnie, że w rękawiczce, jaką miał na ręce, jeden palac u prawej ręki wypchany był watą. Jak sobie państwo przypominacie, profesor motywował przymus noszenia rękawiczki raną na palcu, spowodowaną oparzeniem. Ale teraz zachodziło ciekawe pytanie: Jeżeli fałszywy umarły, którego ciało poszukiwaliśmy wszędzie bez skutku, przyjął postać profesora Schoettena, co stać się mogło z prawdziwym profesorem?

Niedługo mogłem sobie to już wyjaśnić. Stało się to wówczas, kiedy mniemany pan Schoetten zwierzył się mi, iż ukradziono mu papiery ważne, pomiędzy którymi znajdowały się akta stwierdzające tożsamość jego osoby. Pan d'Orwald w obawie ścisłego śledztwa, któreby fałszerstwo jego wykryło, sam papiery te zręcznie usunął.

Na oknie zaś pokoju, gdzie odbyła się domniemana zbrodnia, widoczne były ślady drabinki sznurowej, a na ziemi pod oknem odciski kroków.

Mogłem wnioskować z tego, że ten, który uchodził w pensyonacie za profesora Schoettena, nie był nim wcale i że mógł to być bandyta jakiś śledzący pana d'Orwalda w celu wykradzenia mu pierścienia. Uczynił to rzeczywiście w sposób okrutny i brutalny odcinając mu podczas snu palec wraz z klejnotem.

Pan d'Orwald zaś, znalazłszy się w pokoju profesora, skorzystał z porozrzucanych przez niego w pospiechu przyborów do charakteryzacyi i sam się nimi posłużył, uchodząc dalej za starego uczonego.

Pani Donay na ośm dni przed dokonaniem zbrodni widziała naocznie papiery swojego lokatora i znalazła je w całkowitym porządku. Nie miałem więc podstawy do przypuszczenia, że były one sfałszowane i wierzyłem, że prawdziwy profesor Schoetten został z nich okradziony przez człowieka, który zapisał się w pensyonacie pod jego nazwiskiem.

Musiałem więc teraz wyszukać koniecznie te dwie podejrzane osobistości, które tak zręcznie pod szyły się pod nazwiska profesora Schoettena i pana d'Orwalda, który w międzyczasie przybrał znowu postać starego uczonego. Poszukiwania poczynione w kierunku d'Orwalda wydały nadspodziewany rezultat i dowiodły, że nazywał się on Schmidt i był kilkakrotnie już karany za kradzież i różne oszustwa.

To nazwisko nie było mi obce. Spotkałem się z niem w czasie głośnej sprawy włamania do mieszkania majora Shurley na Churchill Street. W tym samym czasie wpadła mi do ręki pieczątka z zielonego laku, nosząca odcisk indyjskiego pierścienia. W niedługim czasie doszło do mojej wiadomości, że Schmidt był przez czas jakiś sekretarzem majora Shurley'a. Wiedziałem już teraz, że Schmidt pierścień ten wykradł z bogatego zbioru majora jak również o ciekawej właściwości przywiązanej do tego indyjskiego klejnotu. Schmidt w zręczny sposób, chcąc odwrócić podejrzenie od siebie, sam, dobrowolnie zaofiarował usługi swoje policyi angielskiej i tym sposobem wyprowadził ją w pole.

Ale Schmidt posiadał tylko pierścień, a pergamin, ten najcenniejszy dokument, bez którego pierścień tracił swoją prawdziwą wartość, był w rękach Ludovica Marmont. Wiedział on, że Marmont dołoży wszelkich starań, aby pierścień ten mu odebrać i obawiając się tej ewentualności, kazał sporządzić sobie duplikat tego klejnotu, który nosił zawsze na palcu, podczas kiedy prawdziwy umieszczony został przez niego w pewnem i bezpiecznem miejscu.

— Wiliamie — przerwałem nagle — nie mówisz nic dotąd o markizie da Santa Cruza. Jakąż on znowu rolę odegrał w tem wszystkiem?

Tharps uśmiechając się, spojrzał na mnie.

— Cierpliwości trochę, mój kochany — odrzekł — Właśnie o nim chciałem teraz mówić. D'Orwald, chcąc się pozbyć walizy, mogącej go skompromitować, wrzucił ją przez pierwsze otwarte okno do cudzego pokoju. Tym sposobem dostała się ona do mieszkania markiza, najbliższego sąsiada. Wiedział on doskonale, że teraz zwróci podejrzenia w tamtym kierunku. Zachowanie się opryskliwe markiza podczas śledztwa potwierdziło to przypuszczenie i Schmidt, korzystając z tak dobrej okoliczności, urządził porwanie markiza w chwili, kiedy ten, zwabiony jakimś szelestem, wyszedł z pensyonatu. O porwaniu nikt wiedzieć nie mógł. — Dla wszystkich markiz da Santa-Cruza, skompromitowany silnie w tej sprawie, zdecydował się na ucieczkę. Sztuczka ta, jak widzisz, udała się w zupełności. Schmidt zaś równocześnie ulotnił się, pozostawiając za sobą porzuconą rękawiczkę — i tym sposobem znowu sam stawał się prześladowaną ofiarą.

— Wszystko to doskonale zostało uplanowane — zauważył pan Ricotte — Ale czy udało się panu odkryć, kim był pierwszy profesor Schoetten?

— Doszedłem łatwo do tego — odparł Tharps — i nawet od tej osobistości, która podjęła się tej roli, dowiedziałem się szczegółów.

— Ależ to zakrawa na bajkę! — zawołał pułkownik Ricotte — Niechże nam pan to opowie!

— Otóż, prawdziwy profesor Schoetten, ten, który obecnie znajduje się między nami, został pewnego dnia napadnięty wieczorem na ulicach Berlina, kiedy wychodził z jakiegoś odczytu i przytrzymany przez dni kilka.

— Ale w jakim celu? W jakim celu? — odezwały się niecierpliwe głosy.

— Ci, którzy uczynili zamach na profesora, chcieli mu wykraść pewne bardzo ważne papiery, tyczące się odkryć najnowszych, poczynionych przez niego. Po kilku dniach przywrócono profesorowi wolność, ale zaniedbano mu wrócić osobistych papierów identyczności. Te papiery zaś posłużyły zuchwałemu oszustowi do przebywania w pensyonacie pani Donay.

— A kimże był właściwie ten zuchwały oszust? — zapytała ciekawie młoda wdowa.

Wiliam Tharps miał już odpowiedzieć, kiedy zbliżył się do niego towarzysz profesora i rzekł, wsuwając mu do ręki obszerną kopertę:

— Zanim pan da odpowiedź, panie Tharps, powinien pan to przeczytać!

Tharps objął człowieka przenikliwem spojrzeniem i lekki, ledwie dostrzegalny uśmiech przewinął się po jego ustach. Przełamał pieczątkę koperty i wyjąwszy dużą, zapisaną ćwiartkę papieru, w milczeniu czytać zaczął.

Po chwili podał mi papier i rzekł:

— Przeczytaj to głośno, Synhamie, mam nadzieję, że treść tego listu zaciekawi naszych słuchaczy.

Oto, co zawierał ten niezwykły list:

„Niech pan przyjmie, panie Tharps, najszczersze gratulacye za ten nowy sukces pana. W życiu należy być zawsze dobrym graczem, inaczej ono nic nie jest warte. Skoro indyjski pierścień z rąk mi się wymyka, uchylić czoło tylko mogę przed moim zwycięzcą. Mała niedyskrecya przy telefonie posłużyła mi niedawno do przedstawienia panu prawdziwego profesora Schoetten, którego miałem przyjemność poznać w Berlinie.

Zechce mu pan wręczyć papiery osobiste, które dołączam do tego listu i równocześnie złożyć mojej sympatycznej i szanownej gospodyni należne jej odemnie uszanowanie. Załuję tylko, że tak krótki przeciąg czasu przebywać mogłem pod jej dachem."

Przerwałem czytanie i spojrzałem ciekawie po obecnych. W oczach wszystkich paliła się gorączkowa ciekawość i podniecenie.

— Podpis! Podpis! — szepnęła wzruszona pani Donay, patrząc na mnie błagalnie.

Cisza głęboka zaległa pokój kiedy, wśród ogólnego zdenerwowania wymówiłem głośno i dobitnie, znane nam wszystkim nazwisko:

— Ludovic Marmont!

Lekkie okrzyki rozległy się w salonie. Mężczyźni szybko powstali, szukając oczami dziwnego wysłannika, ale ten zdołał już ulotnić się niespostrzeżenie. Pułkownik Ricotte rzucił się ku drzwiom, chcąc go przytrzymać, ale napróżno!

Tharps zamyślony siedział w fotelu, uśmiechając się dziwnie.

Przysiągłbym, że rozmyślnie zwlóczył z odczytaniem listu, aby ułatwić ucieczkę wysłannika. Chciałem go o to zapytać, ale on wyczytał widocznie pytanie to w moich oczach, bo podszedł do mnie i szepnął mi do ucha:

— Przyznaj, mój kochany, że winniśmy mu to byli.

Sposób, w jaki te słowa wymówione były, zastanowiły mnie. Myśl nagła zrodziła się we mnie.

— Wiliamie — zawołałem, zapominając, że nas wszyscy obserwują chciwie — ten człowiek, który wyszedł stąd przed chwilą, to był on!? Ludovic Marmont!?

Ale Wiliam Tharps zapalił powoli papierosa trzymanego w ręku i nie zwrócił uwagi na mój niecierpliwy wykrzyknik.

KONIEC.

Z tygodnia.

Aby sprostać trudnym zadaniom prasy w tym dziejowym momencie, z numerem dzisiejszym wprowadzamy niniejszą, nową rubrykę, w której dawać będziemy streszczony obraz najważniejszych wydarzeń chwili obecnej.

„Sprawy polskie", „Legiony", „Na widowni politycznej", „Dookoła wojny", „Kalendarzyk" — oto poszczególne działy tej rubryki, w której zamieszczać będziemy krótkie i zwięzłe informacye „z tygodnia".

Wprowadzając tę rubrykę, która stanowić będzie całokształt tak doniosłych dziś wypadków zarówno w Polsce, jak i na szerokim świecie, spełniamy niejednokrotnie wyrażone życzenia ze strony licznych Czytelników, którzy pragnęliby znaleźć w „Nowościach Illustrowanych", tym najpopularniejszym dziś na ziemiach polskich tygodniku, nie tylko interesujące illustracye i zajmującą lekturę, ale także całotygodniowy, krytycznie zebrany materyał informacyjny, w pismach codziennych z natury rzeczy chaotyczny. Nie wątpimy też, że ta innowacya spotka się z życzliwem przyjęciem wszystkich naszych Czytelników.

Sprawy polskie.

Polskie Muzeum społeczne powstaje w Bernie szwajcarskiem. Muzeum ma na celu informowanie opinii europejskiej o sprawach polskich i uzasadnienie postulatu niepodległości państwa polskiego. Dla osiągnięcia tego celu, Muzeum społeczne zajmować się będzie gromadzeniem materyałów, oraz utworzeniem i prowadzeniem biura pracy społecznej dla udzielania cudzoziemcom informacyi o stosunkach polskich w najszerszym zakresie; opracowywaniem odpowiednich artykułów w prasie, jak również wydawaniem pism peryodycznych oraz broszur i dzieł, traktujących o sprawach polskich.

Polskie Muzeum społeczne niema być ekspozyturą żadnej partyi lub stronnictwa, lecz instytucyą ogólno narodową, mającą na celu połączenie wszystkich wysiłków polskich, zmierzających w kierunku krzewienia haseł niepodległości polskiej i starać się o zjednanie dla tej idei opinii publicznej wszystkich narodów. Muzeum zajmować będzie oddzielny gmach i posiadać podręczną księgarnię z wydawnictwami polskiemi, odznakami pamiątkowemi, kartami pocztowemi i t. p., a dalej: czytelnię, kawiarnię, lokal klubowy, salę odczytową, biura, oraz kilka sal, zajętych przez wystawę ruchomą Towarzystwa Muzeum.

Polskie Muzeum społeczne posiadać będzie pięć działów: a) statystyczno-ekonomiczny, b) historyczny, c) prawno-polityczny, d) kultury polskiej i e) prasowy.

Polskie Muzeum społeczne — niezależnie od prowadzenia pięciu swoich działów — podejmować będzie oddzielne wydawnictwa, wydawać w języku polskim biuletyn, zawierający najważniejsze wiadomości z prasy poznańskiej, krakowskiej i warszawskiej, jak również z prasy polskiej, wychodzącej w Rosyi i za granicą, i uwzględniający głosy prasy cudzoziemskiej w sprawie polskiej, wydawać w języku obcym pismo, mające na celu informowanie cudzoziemców o Polsce; organizować zjazdy, kongresy, prelekcye, oraz pogadanki popularne z przeźroczami; urządzać wystawy rzeczy polskich według poszczególnych działów.

Wystawa polskiego Muzeum społecznego mieć będzie na celu informowanie cudzoziemców o Polsce i jej kulturze. Wystawa obejmować będzie działy następujące: geograficzno statystyczny, historyczny, prawno polityczny i t. d.

Legiony.

Polski korpus posiłkowy. „Wiadomości Polskie" przynoszą dosłowny tekst rozkazu naczelnej komendy armii w sprawie ogłoszonego niedawno zreformowania Legionów polskich. Dokument ten brzmi, jak następuje:

„Jego Cesarska i Królewska Apostolska Mość na wniosek Naczelnej komendy armii udzielił najwyższej aprobaty na następujące zmiany w Legionach polskich:

1. Rozszerzenie Legionów polskich na dwie pełne dywizye piechoty i nadanie wszystkim oddziałom, sformowanym w Królestwie Polskiem, nazwę polskiego korpusu posiłkowego.

2. Nadanie pułkom piechoty Legionów historycznych polskich sztandarów (na jednej stronie z Orłem polskim, na drugiej stronie z wizerunkiem Matki Boskiej).

3. Pozwolenie noszenia munduru Legionów polskich wcielonym c. i k., c. k. i k. w. oficerom.

Naczelna komenda armii rozporządza nadto:

ad 1) dalsze zarządzenia dotyczące rozszerzenia Legionów będą wydane. Do tej chwili w dalszym ciągu tytuł „Komenda Legionów Polskich" pozostaje w swej mocy.

ad 2) Komenda Legionów polskich ma w najbliższym czasie przedłożyć do zatwierdzenia w barwach naturalnych projekt sztandarów polskich, wzorując się o ile możności na historycznych sztandarach polskich; do projektu należy dołączyć opis sztandarów, podkreślając zwłaszcza momenty historyczne.

ad 3) Nadmienieni oficerowie są uważani w armii jako nadkompletowi i mają nadal te same prawa i obowiązki, jak inni c. i k., c. k. i k. w. oficerowie. Stopień oficerski, jaki im będzie nadany, wyznaczy Naczelna komenda armii w każdym poszczególnym wypadku".

Odezwa brygadyerów. W obecnej przełomowej chwili dla Legionów polskich komendanci brygad wystosowali do żołnierzy i oficerów następującą odezwę:

Do oficerów i żołnierzy wojska polskiego!

W dwuletniej, żmudnej, obfitej w krwawe ofiary walce zdobyliśmy wreszcie pierwszy zrąb wojska polskiego — pierwszy korpus polski.

Ten pierwszy polski korpus powstaje na żądanie naszych najstarszych oficerów włącznie z brygadyerem Józefem Piłsudskim. Jak on, będąc wśród nas, tak i my stać będziemy na straży honoru wojska polskiego; dlatego niezłomnie trwać będziemy na obranej drodze. Nie kieruje nami uczucie, lecz obowiązek Polaka. W obecnych walkach o przyszłość Polski obowiązek Polaka jest równoznaczny z obowiązkiem żołnierza w szeregach, na których sławę złożyły się walki i krew Legionów. Obowiązek ten będziemy pełnić nadal, biorąc pełną odpowiedzialność przed Wami i narodem za nasze stanowisko i czyny. Wierzymy silnie, że tak jedynie postępując, zrealizujemy niepodległe państwo polskie.

W polu, dnia 2 października 1916.

Maryan Żegota Januszajtis,
pułk. bryg.

Józef Haller,
pułk. bryg.,

Zygmunt Zieliński,
pułk zast kdta III br.

Dookoła wojny.

Walka łodziami podwodnemi została znowu przez Niemcy zaostrzona. Jak donoszą z Waszyngtonu pod datą 8 b. m. łodzie niemieckie zatopiły na wodach amerykańskich w ciągu jednego dnia sześć angielskich okrętów. Telegramy kablowe z Nowego Jorku donoszą, że pojawienie się niemieckich wojennych łodzi podwodnych na oceanie Atlantyckim i podjęcie ostrej walki przeciw okrętom, wiozącym kontrabandę, wywołały w Stanach Zjednoczonych nadzwyczajne wrażenie.

Wedle opowiadań podróżnych, którzy na parowcu „Stefano" przybyli do New Port, niemieckie łodzie podwodne, krążące po wodach amerykańskich, posiadają nadzwyczaj wielkie rozmiary i, jak się zdaje, są to łodzie typu zupełnie nowego. Podróżni, jadący parowcem „Stefano", obserwowali dokładnie łódź podwodną, która parowiec ten zatrzymała. — Łódź, która wynurzyła się dość wysoko ponad poziom morza, miała na pokładzie dwie armaty większego kalibru i ośm rur do wyrzucania torped.

Z pierwszych krótkich artykułów prasy amerykańskiej można wywnioskować, że pojawienie się niemieckich wojennych łodzi podwodnych na wodach amerykańskich uważają w Stanach Zjednoczonych za najbardziej sensacyjne wydarzenie całej dotychczasowej wojny.

Niemieckie łodzie podwodne pojawiły się także na morzu Lodowatem. Jedna z tych łodzi w dniu 12 b. m. przybyła do Vadsö z załogą zatopionego na morzu Lodowatem angielskiego parowca, pojemności sześć tysięcy ton, który jechał do Rosyi. Tego samego dnia przybyła do Berlvaag łódź ratunkowa z jedenastoma ludźmi załogi angielskiego parowca, który został w odległości siedmnastu mil morskich od Halmingsvaag zatopiony.

Nową ofenzywę przeciwko Tryestowi podjęli Włosi. Otrzymawszy nowe działa i ogromne zapasy amunicyi, rozpoczęli akcyę zaczepną dnia 9 go b. m. Taktyka Włochów nie zmieniła się. Zdaniem Włochów droga do Tryestu wiedzie przez Comen, a ponieważ austryackie stanowiska dla frontowego ataku były całkowicie niedostępne, więc komenda włoska powzięła plan uderzenia na oba skrzydła, ażeby niejako wyważyć front z zawiasów.

Przygotowawczy ogień włoski działał z wszystkich stron. — Główne siły artyleryi włoskiej były znowu skoncentrowane na odcinku, ciągnącym się od bateryi pod Słobbą w górę, aż w pobliże wyżyny Doberdo.

W pierwszym dniu ofenzywy Włosi wystąpili z wielkiemi siłami przeciwko odcinkowi San Grado di Merna, aż do jeziora Doberdo. W nocy pracowały reflektory i rakiety oświetlające. W dniu drugim toczącej się bitwy rozszerzyli Włosi swoje szturmy na północ, atakując austro-węgierskie stanowiska w dolinie Wippach, aż do wschodnich okolic miasta Gorycyi. Wszędzie szły do boju wielkie masy wojsk włoskich i ta okoliczność wyjaśnia, że na poszczególnych punktach Włosi mogli przejściowo dotrzeć do austryackich stanowisk. Gdy pierwsze szeregi padły pod gradem kul austryackich karabinów maszynowych, mogły następne kolumny dostać się do rowów, gdzie odbywała się walka na rękę, za pomocą bagnetów, kolb i granatów ręcznych.

Na widowni politycznej.

Napór koalicyi na Grecyę z każdym dniem wzrasta. Po obsadzeniu przez wojska koalicyi wszystkich portów greckich, przystąpiono do rozbrajania greckiej floty. Mniejsze okręty mają być oddane do rozporządzenia prowizorycznemu rządowi w Salonikach, większe jednostki zostaną rozbrojone i zostawione w Zatoce Kegasini. Francuska marynarka objęła już bez przeszkody wszystkie okręty wojenne.

Proces polityczny w Moskwie. „Utro Rossii" donosi:

W Moskwie rozpoczął się wielki proces polityczny przeciwko tak zwanym mścicielom-rewolucyonistom. Na ławie oskarżonych zasiadło 53 osób, w wieku od 17 do 70 lat, rozmaitej narodowości, zawodów i sfer. Do rozprawy powołano 169 świadków. Wedle aktu oskarżenia organizacya mścicieli-rewolucyonistów działała w Piotrkowie, Radomiu i Kaliszu, a działalność ta zaznaczyła się licznymi napadami na pociągi kolejowe i państwowe instytucye, przyczem policya staczać musiała z napastnikami zacięte walki. Członkowie tej organizacyi, przeważnie dawniejsi członkowie Polskiej Partyi Socyalistycznej, byli doskonale uzbrojeni i wyszkoleni. Pracowali oni grupkami, liczącemi po sześć osób. Dowódzcom tych oddziałów nie wolno było się poddać, musieli sobie w takich razach odbierać życie. W pewnem miasteczku oddział taki w marcu 1911 r. bronił się przez cały dzień przeciw całej miejscowej policyi. W końcu, widząc bezcelowość dalszej walki, rewolucyoniści podpalili dom, w którym się zabarykadowali i zginęli w płomieniach przy dźwiękach śpiewanej do ostatniej chwili pieśni rewolucyjnej.

Kalendarzyk.

10. października. Wojska koalicyi obsadziły wszystkie greckie porty. Funkcye władz portowych pełnią oficerowie koalicyi.

Niemiecka wojenna łódź podwodna „U 53" przybyła do Ameryki i przywiozła list cesarza Wilhelma z odpowiedzią na pismo prezydenta Wilsona w sprawie pomocy amerykańskiej dla cierpiącej nędzę ludności Polski.

11. października. Władze węgierskie powracają po wypędzeniu Rumunów z Siedmiogrodu do Kronsztadu.

Ciężka artylerya niemiecka ponownie zaczęła bombardować Reims i Verdun.

12. października. Stany Zjednoczone odmówiły żądaniu koalicyi, aby państwa neutralne zabroniły używania ich portów łodziom podwodnym, tak wojennym, jak handlowym.

Austryackie ministeryum spraw zagranicznych ogłosiło zbiór aktów dyplomatycznych, odnoszących się do stosunków z Rumunią.

14. października. Zajęcie floty greckiej przez koalicyę.

16. października. Dzienniki podają niepotwierdzoną jeszcze oficyalnie wiadomość o storpedowaniu w porcie amerykańskim niemieckiej handlowej łodzi podwodnej „Bremen".

Kronika tygodniowa.

Ostatnią kroniką narobiłem sobie ambarasów. Nazwałbym to nawarzeniem sobie bigosu, boję się jednak, by władza nie pociągnęła mnie do odpowiedzialności za gwałcenie dni beztłuszczowych, kto bowiem go nawarzy, powinien go i zjeść, a łatwo zdarzyć się może, iż notatkę niniejszą właśnie w sobotę, gdy tłuszczów spożywać nie wolno, przeczyta pan cenzor od spraw żołądkowych. Poprostu od samego czwartku nie zamykają się drzwi pokoju redakcyjnego, a listonosze wnieśli podanie do Dyrekcyi poczt i telegrafów z prośbą o przyznanie im nadzwyczajnego dodatku na sprawiewie sobie nowych podeszew, stare bowiem zdarli, nosząc stosy listów, przeważnie do kronikarza adresowanych.

Przedewszystkiem więc. już we czwartek popołudniu zgłosił się jakiś poważny, a elegancki jegomość, prosząc o chwilkę rozmowy, ale w cztery oczy. Odpowiedziałem mu, że oczyma rozmawiać nie umiem, zresztą ściany pokoju redakcyjnego są również dyskretne, jak i kosz redakcyjny. Co tam raz się dostanie, światła dziennego już nie ogląda, lecz „ginie w zapomnienia fali". Gdy jednak bardzo się naprzykrzał, twierdząc, że sprawa jest natury bardzo delikatnej, ustąpiłem i udaliśmy się w sam kąt pokoju, pod piec, gdzie mogliśmy porozmawiać bez przeszkody.

— Pan łaskawy daruje — zaczął — że zabieram mu drogi czas, ale, jako człowiek, zajmujący się głównie polityką lokalną, chciałbym się koniecznie dowiedzieć, kogo pan miał na myśli, pisząc o owej magistrackiej rurze, która pękła.

— Kogóżby? — ja mu na to — Rurę!

— Oho! Mnie pan w pole nie wyprowadzi! Ja wiem, że wy nibyto piszecie o rurze, a odnosi się to do osoby. Ja was znam! Ja sam miałem być dziennikarzem, ale okoliczności tak się jakoś złożyły, że dałem sobie spokój!

— A czy można się dowiedzieć, czem dobrodziej się zajmuje, pogardziwszy tak pięknym zawodem...

— Mam dwie kamieniczki...

— Więc kapitalista! W każdym razie pokrewny zawód. Obaj pracujemy nożyczkami, z tą tylko różnicą, że ja wycinam artykuły, a dobrodziej obcina kupony. Bardzo przyjemne zajęcie. Gotów byłbym się każdej chwili zamienić i to nawet zupełnie bezinteresownie, bez żadnej dopłaty.

— Wracajmy jednak do rury! Otóż, uważa pan łaskawy, ponieważ jestem, jak to wy powiadacie, kamienicznikiem, któremu magistrat ogromnie daje się we znaki, cieszę się zawsze, ilekroć czytam coś o naszych panach z autonomii. Zbieram nawet te artykuły i mam ich już sporą tekę. Gdy przeczytałem ostatnią pańską kronikę, zaraz sobie pomyślałem, że ta rura, to właściwie nie rura, ale tam ktoś siedzi... Czy mam racyę?

— Nie! To całkiem ordynarna, najzwyklejsza żelazna rura o średnicy, jeśli się nie mylę, siedmdziesięciu pięciu centimetrów.

— Ja jednak nie wierzę! Myślałem nad tem już od samego południa, ale nic wymyślić nie mogłem!

— Aby to panu dobrodziejowi tylko nie zaszko dziło! Proszę być przekonanym, że mówię szczerą prawdę.

— Nie, panie! W pole wyprowadzić się nie dam. Tkwi tam coś, ale co, tego dotąd nie odgadłem, jeśli jednak odgadnę, przyjdę tu z powrotem i wtedy powie mi pan, czy się nie omyliłem. Żegnam pana!

— Kłaniam uniżenie! — rzekłem głośno, w duchu zaś dodałem — Namyślaj się jak najdłużej, a mnie daj spokój. Szukaj sobie zresztą kogo innego, może ci wytłumaczy.

Drugim interpelantem był znowu obywatel, mający syna w jednem z tutejszych gimnazyów. — Chłopak przełazi wprawdzie z klasy do klasy, ale ile to tatę kosztuje... zdrowia. Mści się też na skórze swego przyszłego spadkobiercy i po każdej konferencyi sprawia mu łaźnię, przy końcu kursu odbywa się „wielkie pranie", naturalnie bez mydła. Chłopak gotów zrobić na tem interes, będzie kiedyś mógł występować jako fakir, który całkiem swobodnie siedzi na ławie, najeżonej gwoździami, taką ma skórę w niektórych okolicach znieczuloną!

Otóż ów jegomość, przybywszy do redakcyi, odsapnął i pyta:

— Mam przyjemność z samym panem kronikarzem, czy może z jego bratem nieboszczykiem?

— Sam we własnej osobie! — odpowiedziałem, wskazując na krzesło.

Siadł i tak dalej ciągnie:

— Pan kochany mnie nie zna?

— Nie mam przyjemności!

— To ciekawe! Bo i ja pana także nie znam!

— To dziwne!...

— Panie! Panie!... Coś pan narobił swą ostatnią kroniką...

— Cóż takiego? Może znowu rura?

— Żeby to rura! Ale, dyabła tam, coś gorszego. Mam, panie kochany, syna...

— To się zdarza w najporządniejszej familii...

— ...i ten syn, panie kochany, jest szelma ogromnie uczuciowy! Wrodził się we mnie!

— Tak być powinno! Do kogóż ma być podobny, jeśli nie do swego rodzonego ojca?

— Otóż, uważa kochany pan, chłopak ciekawy jest, co słychać w świecie. czytuje też pilnie gazety, a zwłaszcza *Nowości illustrowane*. Gdy wyczytał o owym wiecu w sprawie bojkotowania greki, sprzedał, kochany panie, nie tylko gramatykę grecką, ale i słownik łaciński i grecki, geometryę, wypisy polskie i niemieckie, słowem wszystkie książki, które lepiej są notowane na giełdzie antykwarskiej. Kiedyś pytam, gdzie książki, odpowiedział najspokojniej, że na Szpitalce, bo on nie myśli siedzieć tu bezczynnie, więc kupuje karabin maszynowy, albo łódź podwodną i idzie w pole. Cybuch mam panie kochany i władam nim doskonale, byłbym mu też wybił z głowy te wojenne zachcianki.

— Głowa, dobrodzieju, nie do tego stworzona! — przerwałem jego tyradę.

— Ja wiem! Lubię jednak wyrażać się obrazowo. Niech jednak skończę!... Otóż, co właśnie najgorsze, w międzyczasie dostał szelma dwie dwóje z greki i jest wykazany, bo profesorowie starają się, przeczytawszy także pańską kronikę, wpoić w uczniów przekonanie, że bez greki się nie obejdzie. Oświadczam więc panu kochanemu, że jeżeli mój otrok dostanie z greki na półrocze dwóję, winę musi pan sobie przypisać i zapłacić za niego czesne, bo ja nie myślę...

— A czyż to mój syn?

— Pański, nie pański! Ale w każdym razie ofiara pańskiej kroniki. Dostał już swoją porcyę i myślę, że nie jest panu bardzo wdzięczny. Skończyłem. Żegnam pana ozięble!

Potem musiałem jeszcze wysłuchać wykładu naukowego trzech profesorów filologii klasycznej, którzy starali się mnie przekonać, że zwłaszcza greka jest jedynym przedmiotem, który człowiekowi może się kiedyś przydać w życiu przyszłem. Przekonywali mnie dowodami, że jedynie ci ludzie, którzy w gimnazyum greki sobie nie lekceważyli, doczekali się pogodnej starości. Wynik rozmowy był ten, że mym obowiązkiem jest odwołać uroczyście wszystko to, co przeciw grece napisałem. Obiecałem to uczynić i, skoro czas tylko pozwoli, zabiorę się do tego.

Nielada twardy orzech dostał mi się też do zgryzienia w sprawie „babiego lata", o którem w poprzedniej kronice także wspomniałem. Jak wiadomo zapewne Szanownym Czytelnikom, nazwano je „babiem", dlaczego jednak, sam nie wiem, charakterystyczną zaś jego cechą są pajęczyny, unoszące się w powietrzu. Słyszałem, że fabrykuje je pewien rodzaj pająków, które siadają sobie na jakimś wystającym murze lub kamieniu, obracają się z pogardą odwrotną stroną medalu w stronę reszty świata i zaczynają snuć swą srebrzystą przędzę. Gdy jest jej już dość, taki pajączek siada sobie na tym własnej fabrykacyi aeroplanie i jedzie... do narzeczonej.

Czy jednak zachodzi jaki związek między ową pajęczyną, a nazwą „babie lato", tego dotąd nie zbadałem, zdaje mi się przecież, że jakowyś jest i że właśnie „babie" lato ze względu na owe pajęczyny tak się nazywa, są one bowiem jego cechą charakterystyczną, tak samo, jak zwykłe pajęczyny świadczą o skrzętności i zamiłowaniu czystości gospodyni domu, u której bywa panie bardzo często takie tak zwany „babski" porządek.

W sprawie więc owej notatki o „babiem" lecie interpelowały mnie niewiasty, wyrzucając z goryczą, że znowu zaczynam wrogie okazywać usposobienie wobec drugiej płci, co zwłaszcza teraz, w czasie wojennym, miejsca mieć nie powinno. Wszak jedno z pism paryskich na pryncypalnem miejscu umieściło wezwanie do Czytelników i Czytelniczek, aby wzięli sobie do serca, iż w jakimś tam czasokresie liczba zgonów przewyższyła cyfrę urodzin przeszło o trzy tysiące! Przyznałem im zupełną racyę i obiecałem solennie, że o „babiem" lecie, choćby nawet i nastało, ani słowa więcej nie napiszę.

Ba! Człowiek cierpi jednak i za winy niepopełnione. Jedna ze znajomych niewiast zrobiła mi prawdziwie egipską awanturę, że tylko dzięki dziennikom pociągnięto ją do odpowiedzialności za niedotrzymywanie dni beztłuszczowych, choć ja byłem w danym wypadku niewinnym, jak nowonarodzone dziecko. Skrupiło się jednak na mnie.

W piątkowym, jeśli się nie mylę, numerze, pomieścił *Czas* wyjaśnienie, nadesłane z Ministerstwa spraw wewnętrznych, w sprawie używania tłuszczów w sobotę. Komunikat ów zdaje się źle przetłumaczono w Izbie handlowej, ogłoszono bowiem, że w sobotę wolno spożywać potrawy, które można smażyć na własnym tłuszczu, na przykład befsztyk i rozbratel.

Biedna kobiecina usłuchała, befsztyk jednak ani rusz nie chciał się bez tłuszczu usmażyć. Dodała więc masła, by się mięso nie zmarnowało, ale w tej samej chwili przybyła komisya i przyłapała ją na gorącym uczynku gwałcenia ustawy.

Właściwe brzmienie wyjaśnienia ukazało się dopiero w *Nowej Reformie* z niedzieli, iż „w sobotę wolno spożywać potrawy, które można smażyć we własnym tłuszczu, na przykład kotlety wieprzowe".

Z tego wynika, że *Nowa Reforma*, aczkolwiek organ demokratów, więc ludzi, którzy obżarstwem nie grzeszą, posiada lepszego i bieglejszego referenta spraw gastronomicznych, niż *Czas*, dotąd zawsze pod tym względem prym wiodący. Ale dziś czasy się zmieniają. Arystokracya schodzi na psy, demokraci zaś porastają coraz bardziej w pierze i mogą sobie pozwolić na takie frykasy, jakich ongiś tylko obszarnicy i to nie bylejacy kosztowali.

Ta wiązka kłopotów z ubiegłego tygodnia jest tylko małą cząstką bukietu, jaki mi przypadł w udziale. Krzyż Pański, jaki mi się dostał, zniosłem jednak w spokoju, pewny, że co tu wycierpiałem, odliczonem mi będzie w życiu przyszłem.

Skoro dotąd ciągle tylko narzekam, niechże już cała kronika będzie nastrojona na tę samą nutę. Mam mianowicie urazę do krakowskiego Zarządu tramwajowego, iż w soboty i święta żydowskie nie wypuszcza na miasto tak zwanych „kuplówek", wobec czego ludziska, zwłaszcza na linii Dworzec — Most Podgórski, gniotą się, jak śledzie w beczce. Gdyby Dante żył za naszych czasów, byłby miał znakomity materyał do opisu drogi do piekła!

Wiadomą powszechnie jest rzeczą, że linia pierwsza wązkotorowa, wiodąca z głównego dworca kolejowego na stary most, jest najbardziej uczęszczaną. Kursują na niej stare wozy (*eo ipso* i konduktorki nie są młode), w których nieszczęśliwi podróżni cisną się niczem śledzie w beczce. O ile doczepiony jest drugi wóz, można się jeszcze jako tako pomieścić, w sobotę natomiast i żydowskie święta powinien jeździć tylko ten, kto za życia chce odpokutować za swe grzechy i w szacie niewinności dostać się na łono Abrahama.

Zwłaszcza w porze nadejścia pociągów, udawania się młodzieży do szkoły i powrotu z niej, dzieją się tu sceny, na których opisanie trudno się silić, bo... nie da rady! We wozie przynajmniej o trzydzieści osób więcej, niż być powinno, konduktorka choćby najbardziej chuda nie jest w stanie przecisnąć się, by skontrolować, czy każdy ma bilet. Nie dawno zdarzyło się, że pewien jegomość, chcąc się podrapać w kolano, w ścisku nie mógł znaleźć swej nogi i w najlepszej wierze wziął nogę swej sąsiadki za swoją. Niewiasta, aczkolwiek leciwa, pewna, że to zamach na jej cnotę, narobiła wrzasku, pasażerowie podzielili się na dwa obozy, jedni za, drudzy przeciw i niewiele brakowało, a byliby może zlynchowali biednego, Bogu ducha winnego człowieka. Tłumaczył się, jak umiał, wreszcie udało mu się przekonać ogół, że nic złego nie miał na myśli.

A kto właściwie winien? Nikt, tylko dyrekcya Spółki tramwajowej, która jest tego zdania, że w Krakowie jeżdżą tramwajami tylko żydzi, więc w soboty i żydowskie święta obejdzie się bez „kuplówek". Wyjątek stanowi tylko linia druga, Rynek—Park Krakowski, gdzie podwójne wozy kursują przez cały tydzień, więc i w sobotę.

Należałoby więc źle usunąć. Sam na własne swe oczy stwierdziłem, że frekwencya w soboty i żydowskie święta nie jest wcale mniejszą, niż kiedyindziej, dlaczegóż więc płacąca publiczność ma być narażoną na nieprzyjemności? W ubiegłą sobotę jechałem w porze południowej w stronę Podgórza i tak mnie we wozie uprasowano, że potem nie mogłem poznać, czy to ja, czy nie ja. Natomiast, jako człek miłujący prawdę, muszę stanąć w obronie konduktorek, na które poskarżył się niedawno korespondent *Krakauer Zeitung*. Na ogół są one bardzo grzeczne i należycie wypełniają swe obowiązki, niema przecież reguły bez wyjątku, więc i tutaj może się zdarzyć, że któraś z nich może być przez publiczność wytrąconą z równowagi, a publiczność ma czasem bardzo dzikie żądania. Cierpliwość nawet największa może się czasem wyczerpać, konduktorka, należąca do płci słabej, łatwiej ulega zdenerwowaniu niż przedstawiciele płci męskiej.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Tu, ten B. je z ust Zuzi jego borówkę.

Kwadrat magiczny.
Ułożył A. Tarnowski, Zakopane.

Podane litery w ten sposób uporządkować. aby powstało pięć wyrazów, równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym.

k l l l l
o o o o p
p p p p r
r t u u u
n u u u n

Znaczenie wyrazów: 1. Wojewoda mołdawski 2. Z tego znany jest osioł 3. Powieść Sienkiewicza 4. Brak tego szpeci kobietę 5 To samo co pod 1.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Baby całują osty wygi C., aby miały wice i dom.

Trójkąt magiczny.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko polskiego malarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2 Chrząszcz (dwa wyrazy). 3 Historyk polski 4 Litewska potrawa. 5. Imię męskie. 6. Oddział wojska 7 Farba. 8 Tytuł. 9. Owad 10 Inaczej raj 11. Imię męskie słowiańskie 12 Moneta francuska 13. Spółgłoska

Szarada.
Ułożył Wicek-Wacek, Nowy Sącz

Pierwsza, polska litera, *druga-trzecia,* grecka,
A zbyt łatwo odgadnąć będzie i dla dziecka,
Że *wstecz czwartych* tysiące znajdziesz w Izraelu.
Całość tylko nieznana może jest dla wielu,
Choć miał on tytuł króla za czasów Cezara.
Niech więc każdy w historyi znaleźć się go stara.

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko słynnego żołnierza z czasów Kościuszkowskich.

□ — — — — — — —
— □ — — — — — —
— — □ — — — — —
— — — □ — — — —
— — — — □ — — —
— — — — — □ — —
— — — — — — □ —
— — — — — — — □
— — — — — — □ —
— — — — — □ — —
— — — — □ — — —
— — — □ — — — —
— — □ — — — — —
— □ — — — — — —
□ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Krzew. 2 Bohater hiszpański z czasów Napoleona. 3 Sprzęt kościelny. 4. Ptak. 5. Jagoda 6. Obrzęd kościelny. 7. Rodzaj pajęczaków. 8 Miasto w Niemczech. 9 Zakłady wojskowe. 10. Imię męskie 11. Szkarłupnia. 12. Komedyopisarz grecki 13. Dni postu. 14 Cmentarz żydowski. 15. Zjawisko fizyczne.

Równanie.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy nazwisko znakomitego włoskiego pisarza politycznego i historyka z XVI. wieku.

$$\frac{m}{3}+\frac{n}{2}+\frac{o}{4}+\frac{p}{2}+\frac{r}{5}=x.$$

Znaczenie wyrazów: m) Jenerał francuski z r. 1871. n) Lekarz. o) Choroba nerwowa. p) Osobistość, znana z historyi Anglii r) Hymn francuski

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

I pcha pierścionek żyda.

Bilety wizytowe.
Ułożył A. Tarnowski, Zakopane.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

LUI E ANCZYC

N ZIANOSKA

DR ROMAN TAITIS

ARTUR A TRESO

ST. AFANISIN.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 41.

Łamigłówka literacka:

Żeliga
Eli Makower
Rozbitki
Ostapek
Marzyciel
Szachraje
Krewni
Idealiści
Synowie ziemi
Tułacze
Epigrammata
Filistrzy
Ananke
Najmłodsi.

Zadanie do przestawienia: Gdzie cienko, tam się rwie

Trójkąt magiczny:

G ł o w a c k i
Ł a d u n e k
O d e s s a
W i s ł a
A d a m
C a r
K u
I

Zadanie do przestawienia: Siła złego na jednego.

Trójkąt magiczny:

R o z w a d o w s k i
O s t r o b r a m a
Z o r o b a b e l
W e t e r a n i
A m e r y k a
D o r o t a
O l i w a
W ó d z
S a n
K u
I

Depesza: Nie taki straszny dyabeł, jak go malują.

Kwadrat magiczny:

B a a l
a l b a
A b e l
l a l a

Łamigłówka:

Noc
oko
wóz
yak
kur
war
sga
ren
ton
Aza
łut

Bilaty wizytowe: Cukiernik Komisarz Pełnomocnik Praczka. Sklepikarka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów. S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń, L Koznbski Wiedeń, M. Wisłocka Tarnów, L. Serkowski Rzeszów, K. Doliński Kraków, S Zabłocki Lwów, E. Winter Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **L. Kozubski Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Kinematograficzny aparat do przedstawień wraz ze wszystkimi przyborami potrzebny dla Domu Uzdrowieńców Legionów polskich w Kamieńsku Łaskawe dary, ewentualnie ofertę na kupno lub wypożyczenie na czas wojny, uprasza się nadsyłać pod adresem:

Dom Uzdrowieńców Legionów polskich w Kamieńsku koło Piotrkowa.

Kącik humorystyczny.

Żałoba.

— Patrz pan, tam idzie piękna wdowa po bankierze W., ale nie zdaje mi się być smutną.

— Jakto, nie widzisz pan, że ma czarne pończochy?

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor,: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.